

Bezpłatny dodatek niedzielny dziennika „Głosu Prawdy“

GŁOS PRAWDY

Organ Radykalizmu Polskiego

TYGODNIK

Od Polski Wyzwolonej do Polski Odrodzonej

Świat walczy z degeneracją ludzkości

NIEDYSKRECJE:

Liga Narodów i doktryna Monroego . . .	578
Szósty zjazd III Międzynarodówki . . .	"
Czy zmierzch Ligi? . . .	"
Kryzys gabinetowy w Bułgarii . . .	"
Kongres Mniejszości Narodowych . . .	"
Minęło pięć lat istnienia... „Planu Davesa“	579
PRECZ Z ALKOHOLEM — NIECH ŻYJE	
PROHIBICJA <i>jc.</i>	"
ZJAZD F. U. J. W GENEWIE <i>Władysław</i>	
<i>Sieroszewski</i>	580
PRAWNE TYTUŁY PRETENSYJ KOWNA	
DO WILNA <i>St. Poraj</i>	281

„GŁOS PRAWDY LITERACKI“

Goście włoscy <i>Juljusz Kaden-Bandrowski</i> . . .	583
O biedzie ludzkiej	584
Ciężar życia <i>Wojciech Bąk</i>	"
Krytyka czystego talentu <i>Paweł Hulka-Las-</i>	"
<i>kowski</i>	"
Joachim Lelewel jako miłośnik książki <i>K. Zie-</i>	"
<i>leniewski.</i>	586
Na progu niepodległości <i>Wacław Lipiński</i> . . .	588
Z ukraińskiej niwy literackiej <i>N. Lityński</i> . . .	589
Czego potrzeba naszej młodzieży <i>Teodozy B.</i>	590
Poloniki amerykańskie <i>T. Gleyden</i>	591
Z bibliofilskiej antologii <i>wybrat Este</i>	592
Odpowiedzi Głosu Prawdy Literackiego	"

NIEDYSKRECJE

„DOKTRYNA MONROE CZYNI WYŁOM W PAKCIE LIGI NARODÓW” — tak twierdzili niektórzy znawcy prawa międzynarodowego, zwłaszcza amerykańskie. Z jednostronnego oświadczenia prezydenta Stanów Zjednoczonych, Monroe, który w roku 1823 ostro przeciwstawił się wszelkim usiłowaniom mocarstw europejskich, w kierunku rozszerzenia kolonizacji amerykańskiej lub zwalczania w Ameryce Środkowej i Południowej nowopowstałych w owym czasie wolnych republik demokratycznych, — z doktryny tej, mającej na celu początkowo obronę słabych kolonistów Nowego Świata przed imperjalizmem Europy pokongresowej, amerykańskie pragną osiągnąć tę korzyść, iż, nie pozwalając państwom europejskim mieszać się do spraw Ameryki, pozostawiają sobie stałe wolną rękę w stosunku do swych słabszych sąsiadów. To egocentryczne stanowisko Stanów Zjednoczonych czerwoną nicią przewija się w polityce zagranicznej Ameryki Północnej i po raz setny i pierwszy podkreślone zostało na tegorocznym kongresie panamerykańskim w Hawanie. Republiki południowo-amerykańskie, należące do Ligi Narodów, stanęły w obliczu dylematu: czy z punktu widzenia doktryny Monroe, pozaamerykańscy członkowie Ligi byłiby uprawnieni do interwencji względem amerykańskiego członka Związku Narodów, któryby przeciwko paktowi wykroczył? Skoro artykuł 21 paktu Ligi uświęca doktrynę Monroe przez jej specjalne wymienienie, wynikałoby, iż naruszona została zasada, w myśl której wszyscy członkowie Związku Narodów posiadają jednakowe prawa i obowiązki i że doktryna Monroe stwarza dla państw amerykańskich przywilej nietykalności. — Zawiliła tą kwestję prawno-międzynarodową w isce salomonowy sposób rozstrzygnęła odpowiedź Rady Ligi Narodów na odnośne zapytanie Kostaryki. Istotnie, artykuł 21 paktu wymienia doktrynę prezydenta Monroe, która wszakże była i pozostaje jeno oświadczeniem jednostronnym. Jednakże artykuł 20 paktu głosi, że wszelkie układy, traktaty i umowy, któreby się sprzeciwiały paktowi przestają obowiązywać, doktryna zaś Monroe wymieniona została w następnym artykule li tylko jako przykład deklaracji, nie znajdującej się w sprzeczności z paktem Ligi, albowiem zmierza do tychże pokojowych celów. W każdym jednak razie, głosi orzeczenie Rady Ligi, wymienienie doktryny Monroe w pakcie Ligi nie może jej nadać większej mocy, aniżeli przedtem posiadała. Jakkolwiek utrzymana w pojednawczym i wielce ostrożnym duchu, odpowiedź Rady Ligi Narodów nie będzie zapewne przychylnie spotkana przez Stany Zjednoczone, które pragną stworzyć z doktryny Monroe instrument dla bezkonkurencyjnej gospodarki w całej Ameryce. Przykłady Kuby, Panamy i Nikaragui są dostatecznym tego stanu rzeczy dowodem.

**

PO SZĘŚCIOTYGODNIOWYCH OBRADACH zakończył się szósty Kongres Komunistycznej Międzynarodówki. Zagał obrady Bucharin, którego wielka w militarystycznym duchu utrzymana mowa wywołała debaty, trwające dwa tygodnie. W wyniku wielu posiedzeń plenarnych i prac licznych komisji został uchwalony szereg „bojowych” rezolucyj w sprawie propagandy rewolucyjnej w kolonjach, w sprawie sytuacji finansowej w Z. S. S. R. w związku z działalnością partii komunistycznej i III-ej Międzynarodówki, w sprawie opozycjonistów z pod sztandaru Trockiego. Wreszcie wydany został manifest uroczysty „do robotników świata”. Partje komunistyczne wszystkich krajów wezwane zostały do potępienia opozycji w swych szeregach, zaś jedna z rezolucyj została

wymierzona specjalnie przeciwko projektowanej w sferach przemysłowych Anglii „pokojowej współpracy w przemyśle”. Wiele słów, wiele reklamy, zwykłego bolszewickiego afiszowania się — to wszystko. Nic bowiem nowego nie dorzucił ostatni zjazd III Międzynarodówki do tego, co było z takim hałasem wykrzykiwane z czerwonych trybun i co tak sromotnie zbankrutowało w życiu.

**

JAKĄS DZIWNĄ EPIDEMJĄ WYBUCHŁA WŚRÓD KIERUJĄCYCH MĘŻÓW STANU EUROPY. Briand chory, Stresemann chory, Chamberlain chory, Cziczerin chory, że nie wspomniemy tu o Venizelosie, Burowie i innych pomniejszych. Ile jest w tych chorobach mikrobow dypłomatycznych — trudno dociec. W każdym bądź razie koincydencja ich z poprzednimi pogłoskami o ustąpieniach tych mężów stanu, jest wysoce znamienna. Wszystko to stwarza nastrój wyczekiwania jakichś zmian, nastrój zupełnego pesymizmu jałowością dotychczasowych prób w kierunku konsolidacji politycznej Europy, których bilans przedstawia się nader oplakanie. W Genewie w dalszym ciągu pracuje młyn papierowych rezolucyj. Zgromadzenie Ligi nigdy nie rozpoczynało się tak ospale. Ani śladu dawnego entuzjazmu i dawnych nadziei. Po odczytaniu rocznego sprawozdania z działalności Ligi, nikt nie zgłosił się do głosu. Bo i o czym tu mówić! Dopiero po długim wyczekiwaniu delegat Chin, Wang-Kfung-Ky zagał debatę generalną, sekundował mu szwed i holender. Kilka zdawkowych frazesów, westchnień o pokoju. A potem, starym zwyczajem, zaczyna się nużąca, bezbarwna szermierka słowna, piła formalistyk i cyzelowanie uchwał. Genewa powoli staje się synonimem jakiejś niesamowitej nudy. To, co najważniejsze, odbywa się poza jej oficjalnym terenem.

**

POD ZEWNĘTRZNYM NACISKIEM, spowodowanym przez interwencję posłów brytyjskiego i francuskiego, Bułgaria wstępuje w okres przesilenia rządowego. Jak wiadomo, demarsze posłów zmierzały do likwidacji irredenty macedońskiej na terytorjum Bułgarii. W rezultacie konferencji gabinetowych, minister spraw wojskowych, Wołkow, znany ze swych sympatyj dla macedońskiego ruchu niepodległościowego, miał zgłosić swą dymisję. Jednakże, korzystając z zaufania króla i premiera Liapczewa, minister Wołkow nadal pozostawał na swym stanowisku. Przesilenie gabinetowe wytworzył ostatnio minister spraw zagranicznych Burow, który zaciągnął pewne zobowiązania względem państw zachodnio-europejskich. Decyzja w sprawie pożyczki międzynarodowej dla zdewastowanej przez liczne wojny i trzęsienie ziemi Bułgarii, zapasć ma w Genewie, jak twierdzi Burow, dopiero po rekonstrukcji gabinetu. Przystąpił więc on przy pomocy ministra skarbu oraz przewodniczącego Izby ustawodawczej, Cankowa, do ataku na rząd, w którym sam zasiada. Nie ulega wątpliwości, że rząd bułgarski zostanie zrekonstruowany właśnie w duchu przyrzeczeń, udzielonych Anglii i Francji.

**

MNIEJSZOŚCI NARODOWE NA SWOIM KONGRESIE DOROCZNYM W GENEWIE potwierdziły jeszcze raz bardzo słuszne wątpliwości, czy wogóle instytucja kongresów mniejszościowych w tej formie, w jakiej dołychozas istniała, nie mijają się ze swoim celem. Jedynie dzięki zwycięstwu prądów kompromisowych nie doszło do jej zupełnego rozbicia. Cóż bowiem mają wspólnego dążenia niektórych mniejszości do swobodnego kulturalnego rozwoju na gruncie lojalności państwowej i istniejących granic z irredentą innych, systematycznie podkopujących państwa, do których należą? Prym pod tym względem trzymali na ostatnim kongresie ukraińcy polscy.

P. Dymitr Lewicki szalał, jak wicher stepowy. Jest rzeczą charakterystyczną, iż mniejszości żydowskie, z wszystkich niemal krajów wschodu i południa Europy, popierały kierunek umiarkowany, akcentując w ten sposób swoje stanowisko państwowe. Na tem tle rzucała się w oczy nieobecność delegacji żydów polskich. Czyżby ci panowie z pośród niej, którzy zorganizowali blok wyborczy z ukraińcami, krępowali się spotkania ze swoimi niedawnymi sojusznikami na terenie europejskim? Byłoby bardzo pożyteczne, gdyby występy p. Lewickiego w Genewie stały się dla nich nauką na przyszłość i obdarzyły ich pewną dozą mądrości politycznej, której im tak dotkliwie brak.

MINEŁO PIĘĆ LAT ISTNIENIA... „PLANU DAVESA”, czyli pięć lat spełniania przez Niemcy zobowiązań reparacyjnych. Kiedy wprowadzono go w życie, Niemcy na cały świat

wołały o niemożności wypełnienia bodaj setnej części włożonych na nie zobowiązań — minęło pięć lat. Niemcy nie tylko spłaciły ogromne sumy — prawie 2 i pół miljarda marek w złocie rocznie! — ale w świadczeniach transportowych, kosztach restytucyjnych, wykazały dość dużą regularność urzeczywistniania planu, który miał jakoby stać się ich zgubą. Jednocześnie — w ciągu tych ostatnich lat rozbudowa niemieckiego przemysłu i ekspansji handlowej wzrosły niepomniernie, Niemcy przestały obłudnie narzekać na nędzę i bogaciły się otwarcie i systematycznie. Najwymowniej o stanie zamożności Niemiec świadczy już bodaj to, że marka niemiecka przewyższa wielokrotnie nawet usaczkowanego już franka francuskiego. Zwyciężone Niemcy tak długo grały rolę żebraka — dopóki się to im opłacało. Dziś ubiegają się o to, by nie tylko dorównać, ale i prześcignąć państwa, które blask sławy niemieckiej zaćmiły chwilowo swymi zwycięstwami.

PRECZ Z ALKOHOLEM — NIECH ŻYJE PROHIBICJA!

Wywiad z profesorem Rafałem Radziwiłłowiczem.

Szczęśliwy traf zetknął mnie w przedziale kurjeru z profesorem Uniw. Wileńskiego Radziwiłłowiczem, wybitnym polskim psychiatrą.

Profesor właśnie powracał ze zjazdu antialkoholizacyjnego w Antwerpii, dokąd był z ramienia Rządu na czele delegacji polskiej wysłany.

Zechciał mi łaskawie opowiedzieć swe wrażenia ze zjazdu.

Sam profesor jest zażartym wrogiem alkoholu. Praktyka lekarska i psychiatryczna przekonała go jak rozgałęzione i szkodliwe są skutki nadużycia trunków, jak ogromny procent nerwowo chorych zawdzięczamy tym nadużyciom.

— Nie może Pan sobie wyobrazić, mówi Profesor, w jak sympatycznej, prawdziwie braterskiej atmosferze stykają się ze sobą na tych zjazdach międzynarodowych delegaci ze wszystkich krajów świata. Zjazdy te mają bardzo wielkie znaczenie, nie są one bynajmniej tylko czczą manifestacją, dzięki nim stwierdzić możemy siłę ruchu antialkoholizacyjnego na całym świecie, uczymy się tam również wzajemnie jedni od drugich najróżniejszych metod walki. Muszę Panu zaznaczyć, że sam przystąpiłem do tej walki dzięki mej praktyce lekarskiej i psychiatrycznej. Ogromny procent chorób nerwowych zawdzięczamy nadmiernemu użyciu alkoholu, laik nie wyobraża sobie do jakiego stopnia szkodzi alkohol organizmowi, ile chorób i kalectw jemu właśnie zawdzięczamy.

Na zjazd do Antwerpii pojechało nas z Polski kilku: Dyrektor Szpitala Psychiatrycznego w Tworkach dr. Łuniewski, Dr. Marcin Kacprzak z Państwowej Szkoły Hygieny, p. Stanisława Adamowiczowa, z tej samej szkoły, ksiądz Gaczyński z ramienia Ligi Katolickiej przeciwalkoholizacyjnej i ja.

Zjazd ten jest dziewiętnastym z rzędu. Po dłuższej przerwie wojennej odbył się zjazd podobny w Lozannie, potem mieliśmy jeszcze zjazdy w Dorpacie, Kopenhadze. Przyszły zjazd ma się odbyć w 1931 roku w Warszawie.

Zapraszając w imieniu naszego Rządu delegatów ze wszystkich krajów do Polski, w trzech językach oficjalnych zjazdu (francuskim, niemieckim i angielskim) stwierdziłem z jak prawdziwą ochotą delegaci obiecali odwiedzić nasz kraj.

Niemiecka delegacja przywiozła zaproszenie od ministra spraw wewnętrznych Seweringa i gorąco pragnęła by zjazd przyszedł odbyć się w Niemczech, ale sprawę tę załatwiliśmy z Niemcami polubownie. *Comité Central* złożył delegacji niemieckiej obietnicę, że jeden z najbliższych zjazdów odbędzie się w Berlinie, miejscem zaś przyszłego zjazdu została definitywnie wyznaczona Warszawa.

Najciekawszą częścią składową zjazdu była potężna delegacja ze Stanów Zjednoczonych, z doktorem Doran na czele, kierownikiem urzędu prohibicyjnego. Tyle słyszemy w Europie rozdmuchanych informacji o prohibicji i nadużyciach przeciwnych tej ustawie, że radzi byliśmy usłyszeć dane faktyczne z ust najbardziej wiarygodnych. Dr. Doran wykazywał statystyką przestępstw i chorób jak błogosławione są skutki prohibicjonizmu.

Organizując urząd prohibicyjny, musiał dr. Doran stworzyć aparat, który nie miał uprzednio żadnych wzorów, żadnej tradycji. Walka z wszelkiego rodzaju nadużyciami jest prowadzona systematycznie i sprawność aparatu przeszła oczekiwania.

— W ciągu mego trzymiesięcznego objazdu inspekcyjnego po całej Ameryce — mówił nam dr. Doran, — który zakończył się przed samym moim wyjazdem do Europy, nie widziałem ani jednego człowieka, którego można było pośądzić o to, że jest pijany.

Drugi delegat opowiadał nam że z fachem jego są związane ciągle podróże po kraju. Otóż w przeciągu 6-ciu ostatnich miesięcy widział w Stanach tylko 2 ludzi nietrzeźwych.

Sądy przysięgłych w Ameryce skazują na coraz wyższe kary ludzi, którzy zostali złapani za nadużycie przeciw ustawie antialkoholizacyjnej. Dowodzi to, że ustawa prohibicyjna staje się coraz popularniejszą.

Za prohibicją w Ameryce są wszystkie kościoły, kobiety i cały wielki przemysł. Dane statystyczne wykazują że siła kupna kraju wzrasta znacznie dzięki „suchym” ustawom.

Pamiętać musimy, że walka między „suchymi” i „mo-

krymi" w Ameryce toczy się wyłącznie o prawo sprzedaży lekkiego piwa i lekkich win. Popiera tę zmianę kandydat na prezydenta *Smith* przeciwko obrońcy zupełnie suchego reżimu *Hoover*'owi. Nikt nie myśli w Ameryce o zezwoleniu na handel wódką i likierami. Ostatnio szereg stanów jeszcze obostrzył ustawodawstwo, zakazując nawet wydawania spirytusu w celach leczniczych.

W Ameryce w przeciągu 70 lat trwała walka o handel spirytusem. Oddzielne stany wprowadzały u siebie zakaz wyszynku win i ustawa antialkoholowa, stała się obowiązującą dla całego kraju, tylko wtedy, kiedy dwie trzecie stanów uchwaliły ją dobrowolnie.

Nie wszyscy wiedzą — ciągnie dalej profesor Radziwiłowicz, — że jedynym krajem w Europie, który poszedł w ślady Ameryki Północnej jest Finlandja. „Finlandzki karzeł stanął obok Amerykańskiego olbrzyma” jak to określił delegat tego kraju były minister spraw zagranicznych a teraz delegat przy Lidze Narodów p. *Voyonmaa*.

Zalił się on na intensywny szmugiel prowadzony z Europy przy cichem poparciu niektórych rządów obcych krajów.

Delegat szwajcarski stwierdził w swym referacie, że w miejscowościach gdzie zwycięża antialkoholizm wzrasta ogromnie zapotrzebowanie na nabiał i owoce. Względ ten jest dużym atutem w agitacji wśród chłopów w interesie, których jest ustalenie prohibicji. W samym Zürichu jest 14 restauracji gdzie sprzedaż alkoholu została skasowana.

Delegatka Afryki Południowej p. *Salomon* wice prezeska związku Ligi Kobiecej antialkoholicznej stwierdziła ogromny wzrost tego ruchu po wojnie zestawiając rezultaty i dane zebrane na kongresie tegorocznym i na zjeździe przedwojennym w Medjolanie.

Zaprzyjaźniliśmy się bardzo z delegatami Rządu Egipskiego. Dr. *Ahmed Goucho* urzędnik min. pracy i op. społ. w Egipcie z koranem w ręku cytując ondośne ustępy stwierdzał, że problemy poruszane przez zjazd są już dawno przez ich proroka rozwiązane, że wierni mahometanie są dotychczas zupełnymi abstynentami, i że tylko ludność chrześcijańska działa pod tym względem niezmiernie demoralizująco. Delegaci Egiptu jak również pierwszy raz na kongres przybyły delegat rządu Perskiego, wprost z entuzjazmem odnieśli się do faktu wyznaczenia Warszawy jako miejsca przyszłego zjazdu, obiecując sołennie przyjechać do nas w roku 1931.

Zjazd wyraził swe uznanie dla 5 państw, które na terenie Ligi przeprowadziły akcję zdążającą ku temu by się Liga zajęła badaniem sprawy alkoholizmu, inicjatywa Finlandji została poparta przez Polskę i Szwecję, potem przez Belgję i Czechosłowację.

Zjazd ze swojej strony wystosował prośbę do Ligi, by już na przyszłej sesji wrześniowej sprawa ta była postawiona na porządku dziennym.

Wśród referatów jednym z najciekawszych był referat o dziedziczności alkoholizmu, wygłoszony przez Estończyka prof. *Puusep*. Stwierdził on, alkoholizując króliki, cechy degeneracji na ich potomstwie, silne osłabienie tarczycy, nadnercza, grasicy i gruczołów płciowych.

Profesor *Rafałowicz* udzielił mi również szeregu informacji o ruchu antialkoholicznym w Polsce.

— Mamy, mówi profesor, bardzo cenną ustawę jeszcze z 1920 roku, która, niestety, niedosyć jest przestrzegana.

Ustawa ta nie jest bynajmniej prohibicyjną, zabrania

ona jednak wyszynku alkoholu w restauracjach i lokalach publicznych od 3 godz. w sobotę do poniedziałku rano, zabrania zakładanie szynków w pobliżu kościołów, koszar, szkół i sądów, zakazuje by było więcej niż jeden szynk na 2000 mieszkańców.

Mamy również w Polsce prawo opcji lokalnej, każda gmina ma prawo uchwalić zupełny zakaz handlu alkoholem.

Przeprowadził to w tym roku Pruszków a w 1924 roku kilka gmin w Małopolsce. Ta właśnie drogą doszły Stany Zjednoczone do całkowitej prohibicji

Sprawa ta jednak utyka u nas na sprzeciwach szynkrzy, którzy żądają w razie uchwalenia zakazu handlu spirytusem, wielkich odszkodowań.

Profesor poruszył jeszcze jedną sprawę palącą:

— Większość wypadków samochodowych w Polsce i zagranicą pochodzi od tego, że szofer jest w stanie nietrzeźwym. W Berlinie istnieje przy związku szoferów związek antialkoholiczny. Każdy szofer, który nie pije żadnego alkoholu ma prawo nosić niebieską opaskę towarzystwa. Jeśli zostanie przyłapany na picciu — traci raz na zawsze prawo jazdy.

Publiczność mając wybór, wybiera zawsze antialkoholika, z opaską, interes materialny pobudza skutek tego szoferów do zapisywania się do towarzystwa. Zmniejsza to znacznie niebezpieczeństwo wypadków automobilowych.

Profesor propaguje z zapałem myśl by i u nas na wzór Berlina został założony związek antialkoholiczny, przy związku szoferów.

**

Trudno o lepszą propagandę idei antialkoholizmu jak zetknięcie z czcigodnym profesorem.

Zasypując słuchaczy ciekawym faktycznym materiałem mówiąc z młodzieńczym zapałem w niebieskich oczach przemienił profesor przedział wagonu w miting antialkoholizmu. Sekundowany przez kolegów ze zjazdu, zapalił towarzyszy podróży, między innymi... Komisarza policji. Ten ostatni specjalnie się zainteresował pomysłem „związku trzeźwości” wśród szoferów i obiecał pomysł ten pchnąć i u nas w Polsce na tory realne.

Podziękowałem Profesorowi w imieniu czytelników „Głosu Prawdy” za cenne informacje.

jc.

ZJAZD F. U. J. W GENEWIE

(Korespondencja własna).

GENEWA I. IX. 28 r.

Międzynarodowa Federacja Uniwersytecka Przyjaciół Ligi Narodów (F. U. J.) łączy, wbrew swej nazwie, nie tylko studentów wszystkich niemal krajów Europy i bardzo wielu krajów świata, lecz również i młodą inteligencję, która niedawno dopiero rzuciwszy ławy wyższych uczelni, bierze jednak już czynny udział w życiu społeczeństwa. Od Międzynarodowej Federacji i Stowarzyszeń Ligi Narodów, do której należą najwybitniejsze umysły szeregu narodów, różni się więc F. U. J. nietyle rozgraniczeniem formalnym, ile raczej innem nastawieniem w traktowaniu zagadnień związanych z Ligą Narodów.

„Starsze” stowarzyszenie substytuuje się w pewnej

mierze Lidze, rozstrzyga zawile kwestje — młodsze niezupełnie jeszcze straciło charakter kół naukowych, propagandę swą ograniczając do uprzywilejowania masom wiadomości o tem, co zdziałała Liga i w jakiej mierze okazała się ona dotąd skutecznym narzędziem pokoju. Ten przynajmniej kierunek nadaje mu twórca F. U. J. i jej prezes honorowy, prof. A. Zimmermann w zgodzie z większością ugrupowań reprezentowanych w Federacji. W ten sposób udaje się unikać zatargów, które tak często wynikają w łonie różnych organizacji międzynarodowych, z drugiej jednak strony, F. U. J., ograniczając się do bardzo szczerpłego zakresu działalności, stała się instytucją drzemającą i pozbawioną wyraźnego oblicza ideowego.

Delegacja polska miała tego roku niezwykle trudne przed sobą zadanie, utrudnione nadto przez fakt istnienia w Polsce dwóch organizacji; nacjonalistycznej i postępowej. Udało się jednak wyłonić wspólną delegację, w skład której po raz pierwszy od istnienia F. U. J. weszli przedstawiciele najróżnorodniejszych kierunków politycznych — od socjalistów począwszy, a kończąc na wszechpolakach. I jeżeli w łonie delegacji — a w tak dużej gromadzie, liczącej 13 delegatów zawsze to zajść musi — zdarzały się ostre nawet scysje, to nie z tego nie wydostało się na forum publiczne. Zresztą większość w delegacji posiadała element prorządowy, on też musi wziąć na swe barki zarówno zasługi jak i niepowodzenia na tegorocznym Kongresie.

Dadzą się one streścić w dwóch zasadniczych punktach: zasługa — kierownicza rola, jaką delegacja odegrała w debatach komisyjnych i plenarnych; porażka — nieprzeprowadzenie Polaka do władz F. U. J.

Zaczynamy od tej ostatniej. Uważaliśmy, że jako grupa przodująca (drugie miejsce zaraz po Anglii) pod względem pracy naszych kół, powinniśmy otrzymać miejsce w zarządzie F. U. J. Jeżeli tak się nie stało, należy to przypisać uchwalonym w roku zeszłym na zjeździe w Oksfordzie przepisom regulaminowym, które wybory wyznaczają na jeden z pierwszych punktów porządku dziennego Zjazdu. Doprowadziło to do tego, że w chwili wyborów, kandydaci, o ile nie piastowali już przedtem funkcji w F. U. J. byli zaledwie znani własnym kolegom. W tych warunkach decyzja należała do prof. Zimmermanna, który, jako prezes honorowy F. U. J. i jednocześnie dyrektor Biura Studiów Międzynarodowych miał możliwość poprzedniego zetknięcia się z delegacjami i ich kandydatami.

Szkoda, że prof. Zimmermann nie ogranicza się do wpływu intelektualnego, jaki ma na młodzież „ligową”, ale w stosunku do wielu ludzi i całych delegacji, używa nacisku personalnego przez co wywołuje ostre niezadowolenie, któremu kilkakrotnie dano wyraz w ciągu tegorocznego kongresu. Odnosi się zresztą wrażenie, że chodzi mu o to, aby na czele Federacji stał człowiek bezbarwny i pozbawiony charakteru.

Delegacja polska nie chciała przeprowadzać walki na podłożu personalnem, to też kandydatury żadnej nie wystawiła i stanowisko swoje uzasadniła przez usta swego prezesa, p. J. Balińskiego. Natomiast dla uniknięcia podobnych wypadków na przyszłość, przeprowadziła na Kongresie dwie uchwały: jedną znoszącą wyżej przytoczony przepis, o dokonywaniu wyboru władz i drugą, wprowadzającą system rotacyjny, na zasadzie którego każda z grup należących do Federacji będzie przez pewien przeciąg czasu miała swego człowieka w Komitecie wykonawczym.

Zdaje się, że otoczenie prof. Zimmermanna obawiało się energii i inicjatywy Polski i dlatego postarało się o usunięcie jej przedstawicieli od kierowania Federacją. Rozumiejąc jednak niesprawiedliwość takiego postępowania wobec jednego z najpoważniejszych i najruchliwszych ugrupowań, starano się nam dać częściowo bodaj zadość uczynienie przez oddanie przewodnictwa Komisji „d'ac-tion”, w której się właściwie ogniskowała cała praca Kongresu (Kongresowi z zasady przewodniczył prezes F. U. J.), Komisji tej miałem zaszczyt przewodniczyć z ramienia delegacji polskiej. Drugiej Komisji, znacznie skromniejszej „d'organisation” przewodniczył socjalista niemiecki p. Friedländer, znany ze zjazdu pacyfistów w Warszawie. Należy zauważyć, że Niemcy również byli uważani przez sfery kierownicze F. U. J. za opozycję i ani oni ani nikt z ich grupy (Austria, Węgry, Bułgaria) nie mają również przedstawiciela w Komitecie Wykonawczym.

Władysław Sieroszewski.

PRAWNE TYTUŁY PRETENSYJ KOWNA DO WILNA

II.

Sprawa stosunków polsko-litewskich znalazła się na wokandzie Ligi Narodów w r. 1927 nie w wyniku sporu terytorjalnego o Wilno, zakończonemu — jakiegoś to przypomnieli już na tem miejscu — uchwałą sejmu wileńskiego, zgodną z zasadą samostanowienia o sobie narodów, — lecz wskutek noty rządu litewskiego z d. 15 października r. 1927, wystosowaną przez p. Waldemaras do Ligi Narodów. W nocie tej p. Waldemaras, powołując się na groźące rzekomo Litwie niebezpieczeństwo zbrojnego napadu Polski i korzystając z uprawnień, przysługujących członkom Ligi w myśl art. 11, prosił Ligę o przedsięwzięcie zarządzeń, któreby mogły zapewnić pokój pomiędzy Polską a Litwą.

Zbyteczną chyba byłoby rzeczą przypominać tu, jaką była odpowiedź Polski na tę nową próbę kowieńskiego pieniactwa. Do Genewy udał się osobiście Marszałek Piłsudski i zmusił tam p. Waldemaras do wydlawienia z siebie słowa „pokój”, jakie zakończyć miało stan rzekomej wojny polsko-litewskiej, istniejącej jedynie w rozpalonych wyobraźniach kowieńskich mężów stanu. Rada Ligi Narodów, przywykła do operowania pojęciami europejskimi i licząc się z mentalnością europejską po oświadczeniu tem p. Waldemaras powzięła pamiętną rezolucję z d. 10 grudnia r. 1927, zalecając ją obu rządów, polskiemu i litewskiemu, jaknajrychlejsze nawiązanie rokowań bezpośrednich celem ustalenia takich stosunków wzajemnych, by te doprowadziły do porozumienia, od którego zależy pokój.

Do zalecenia Ligi Polska pragnęła się zastosować jaknajściślej i istotnie doprowadziła do tego, że p. Waldemaras po wielu wykrętach zgodził się wreszcie rozpocząć z Polską rokowania w Królewcu w d. 30 marca r. b. Program tej konferencji obejmować miał: 1-o sprawę bezpieczeństwa państwa litewskiego, 2-o sprawę wzajemnych odszkodowań, 3-o sprawę nawiązania komunikacji kolejowej i pocztowo-telegraficznej, 4-o sprawę zawarcia umowy o małym ruchu granicznym, a wreszcie 5-o sprawa

wę wykonania art. 3-go aneksu 3-go do konwencji paryskiej z d. 8 maja, dotyczącej Kłajpedy; artykułem tym, przypomnijmy, nałożono na Litwę obowiązek zapewnienia wolnej komunikacji dla transportów, pochodzących albo przeznaczonych do Kłajpedy lub wreszcie idących tranzytem przez Kłajpedę drogą morską, rzeczną i lądową ze szczególnem uwzględnieniem wolnego spławu po Niemnie.

Ustaliwszy program powyższy, nie wspominający, jak widzimy, choćby słowem o przesądzonej już raz na zawsze sprawie wileńskiej, — konferencja królewiecka wyłoniła 3 mieszane komisje polsko-litewskie, które zajęć się miały szczegółowem opracowaniem przytoczonych powyżej problemów, a wyniki prac komisyj miały być złożone plenarnemu posiedzeniu konferencji polsko-litewskiej.

Jak wiemy, efekt prac tych komisyj, które urzędowały w Warszawie, Kownie i Berlinie, był żaden. Zamiast starać się o osiągnięcie porozumienia co do spraw, objętych programem, strona litewska usiłowała nawiązać pośrednio do przesądzonej już raz sprawy wileńskiej, starać się przypominać o niej światu, by ostatecznie zatrzeć w pamięci ludzkiej istotny cel, dla którego zwołana została konferencja, podstawiając zamiast niego chęć owładnięcia Wilnem bez względu na uroczystą uchwałę sejmu wileńskiego, świadcząca, jaka była istotna wola ludności, zainteresowanej bezpośrednio. W ostatecznym wyniku strona litewska odrzuciła polski projekt traktatu o nie-agresji i konwencji arbitrażowo-koncyliacyjnej, które to oba projekty po ich podpisaniu mogły skutecznie i raz na zawsze zapobiec obawom, wyrażonym w nocie p. Waldemarasa z d. 15 października r. ub. Odrzuciła również projekty polskie w sprawie nawiązania bezpośredniej komunikacji kolejowej i pocztowo-telegraficznej; odmówiła wreszcie rozważenia sprawy wolnego spławu po Niemnie, godząc się jedynie na zawarcie układu, regulującego mały ruch graniczny w bardzo szczerpym zresztą zakresie, bo dotyczącego jedynie osób, których przynęta przecina granica polsko-litewska. Podkreślić przytem należy, że ów układ ostatni nie zmienia zresztą w niczem stanu rzeczy, jaki de facto istnieje już od lat dwóch.

Strona litewska, odrzuciwszy wszystkie wogóle projekty polskie, a nawet odmówiwszy rozpatrywania polskiego projektu porozumienia gospodarczego pomiędzy obu państwami, — wysunęła natomiast projekt traktatu polsko-litewskiego, w którym usiłowała ponownie poruszyć załatwioną już raz sprawę wileńską, choć ta, jako należąca do kategorii spraw, odmiennie komentowanych przez oba rządy, wyłączona została w myśl rezolucji grudniowej Rady Ligi z programu rokowań. Projekt ten odrzucony został zresztą przez rząd polski, ponieważ: 1-o kwestjonował nietykalność terytorjalną państwa polskiego, 2-o był równoznaczny z odmową zawarcia traktatu o nieagresji, 3-o usiłował narzucić Polsce częściową demilitaryzację jej terytorjum, 4-o odmawiał nawiązania bezpośredniej komunikacji kolejowej i pocztowo-telegraficznej, a wreszcie 5-o usiłował narzucić Polsce obowiązek wypłaty odszkodowania za akcję gen. Żeligowskiego bez uwzględnienia pieniężnych kontr-prestysyj rządu polskiego.

Uniemożliwiając wszelkie porozumienie z Polską w myśl rezolucji grudniowej Rady Ligi i sabotując bezpośrednio rokowania z Polską, strona litewska dążyła, ja-

kieśmy to już podkreślili, do zatarcia istotnego celu tych rokowań, posługując się prasą zarówno własną, jak i idącą w danym wypadku na rękę prasą wschodnio-pruską i sowiecką. Nie poprzestając przytem na zakłócaniu i rozjątrzeniu atmosfery, w której się rokowania odbywały, rząd litewski, pragnąc osiągnąć najwyższy stopień zniecierpliwienia, ogłosił w d. 25 maja r. b. nową konstytucję państwa litewskiego, w której Wilno uznane zostało za stolicę Litwy kowieńskiej.

Krok ten spotkał się z jednomyślnem potępieniem w Radzie Ligi Narodów, a minister spraw zagranicznych W.-Brytanji nie zawahał się go nazwać publicznie „aktem prowokacji, sprzecznym z tem, czego Rada Ligi pragnęła i spodziewała się od stron obu”.

Podkreślmy, że ów „akt prowokacji”, jeśli istotnie miał być prowokacją, a nie bezmyślnem jedynie i nieobliczalnem posunięciem kowieńskiego sanhedrynu, nie sprowokował przeciw nikogo, nie wywołał żadnego pożaru, za który odpowiedzialność można byłoby następnie z całą perfidją rzucić na stronę sprowokowaną. Że jednak owa strona przeciwna zachowała spokój bezwzględny, prowokacje więc powtarzały się dalej. Pomińmy z pośród nich setki wyssanych z palca plotek prasowych o zaborczych planach rządu polskiego, za które nikt bezpośrednio nie ponosi odpowiedzialności, przytoczmy zaś choćby jedynie ów kongres kowieński szaulisów z d. 17 czerwca r. b., na którym p. Waldemaras oświadczył, że szaulisi mają przed sobą ważne zadanie do dokonania, zdobycie Wilna, owej „konstytucyjnej” stolicy Kowieńszczyzny. Tę samą myśl, jeno innemi słowy wypowiedział również litewski minister wojny, gen. Daukantas.

Gdy jednak nic nie jest w stanie sprowokować owego „marszu na Kowno”, rzecby się chciało, pożądanego chyba dla Litwy, tak prasa litewska wciąż o nim mówi, — rzeczywistość zastąpić muszą brednie, rozpowszechniane po świecie przy pomocy cierpliwego jak papier telegrafu bez drutu. Tak więc moskiewska III Międzynarodówka w przededniu wileńskiego zjazdu legjonowego informuje wszystkich robotników i włościan o zaborczych zamiarach białej Polski, wzywających ich do strajków protestacyjnych, któreby zapobiegły pożarowi na wschodzie Europy.

Pożar ów przecież za nic nie chce wybuchnąć. Polska z całym spokojem oczekuje odpowiedzi litewskiej na propozycję, wysłaną w d. 31 ub. m. do narodu kowieńskiego, w sprawie zwołania plenarnego posiedzenia konferencji w Genewie. Odpowiedź ta, jak wnosić można z dotychczasowych pogłosek prasowych, będzie zapewne odmowna i najbliższa sesja Rady Ligi Narodów skonstatować będzie musiała, że sprawa rokowań polsko-litewskich nie posunęła się naprzód zupełnie.

Sesja ta rozpocznie się przed końcem b. m., a że przedstawiciele Litwy będą usiłowali na niej niewątpliwie gmatwać dalej sprawę naszych obopólnych stosunków sąsiedzkich, byłoby więc rzeczą pożądaną ze wszech miar przypomnienie opinji publicznej, że kwestja wileńska jest już raz na zawsze przesądzona, jakieśmy to starali się pokrótce przypomnieć, że nowa konstytucja litewska w niczem nie jest w stanie zmienić uchwały sejmu wileńskiego, aprobowanej przez kompetentne czynniki międzynarodowe, a wreszcie że Litwa może rokować z Polską jedynie na podstawie obecnego stanu posiadania terytorjalnego obu państw, którego Polska zmienia ze swej strony nie pragnie, ale którego też wbrew swym intencjom, zmienić nie pozwoli nikomu.

St. Poraj.

„GŁOS PRAWDY” LITERACKI

POD REDAKCJĄ J. KADEN-BANDROWSKIEGO

GOŚCIE WŁOSCY

Dnia drugiego września b. r. odbyła się w Zakopanem w sali muzeum tatrzańskiego im. Chałubińskiego uroczystość, o której niepodobna myśleć bez wzruszenia, a która, choć pozorami niewydatna posiada wielkie znaczenie: uroczystość otwarcia kursu polonistycznego dla pisarzy włoskich i studentów uniwersytetu, zajmujących się polonistyką.

Ludzi tych, — którzy znają już literaturę i kulturę polską ze swych, niejednokrotnie bardzo głęboko posuniętych studjów sprowadza do Polski — blask Jej genjuszu. Pisarze i badacze włoscy, którzy przyjechali na kilka tygodni do Zakopanego, którzy tu zamieszkali wśród Polaków w ten sposób, by mówić wyłącznie po polsku, by poznać naszą przyrodę, charakter naszego krajobrazu, charakter i usposobienie naszego ludu, — przybyli do Polski, powodowani, — rzec można bez żadnej przesady, — starą wspaniałą przyjaźnią i starą piękną tradycją w dziedzinie obu kultur. Przyjaźń ta, — jeżeli ograniczymy się już tylko do XIX wieku to największe imiona naszych wieszczów, — Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego i Fredry.

Przyjaźń wieszczów największych, bliskich obu narodom — a więc Mazziniego i Mickiewicza.

Zebranych w sali Muzeum Włochów i Włoszki wita delegat Min. W. R. i O. P.

Przemawiają następnie po włosku sami goście. Starają się mówić powoli i wyraźnie, by ich publiczność nasza, nie obca przecie łacinie mogła jako tako zrozumieć. I istotnie zrozumieć nie trudno, gdy w przemowach tych kluczami wzajemnego porozumienia są nazwiska naszych największych i wielkie ich systemy pojęciowe, mieszczące się w zrozumiałym dla każdego Europejczyka określeniu, wynikiem z łaciny.

Na sali dostrzec można wzruszenie publiczności naszej, łączące się jednak z pewnego rodzaju niedowierzaniem. Tyle już przecie w ostatnich latach przerabia się rozmaitych propagand kulturalnych, tyle zbliżeń w dziedzinie ducha, że zostało to już poniekąd zmechanizowane i oparło się o pewne zgrabnie wypracowane formuły, syllabusy, czy Bedekery kultury i literatury.

Niedowierzanie jednak ustępuje miejsca najszczerzszemu wzruszeniu i entuzjazmowi, gdy dr. Pollak, instruktor kilkutygodniowego kursu polonistycznego dla pisarzy włoskich, przedstawia tych pisarzy naszej publiczności. Po każdym takim zaprezentowaniu miłego gościa wybuchają entuzjastyczne brawa.

Dowiadujemy się, iż pośród gości włoskich siedzących na sali znajduje się profesor Giovanni Maver, wybitny znawca Słowackiego, autor wielu prac o wielkim Juliuszu, miłośnik i uczony admirator Króla Ducha, posiadający w zakresie Słowackiego kompletną, wyjątkowo bogatą bibliotekę.

Obok profesora Mavera dr. Henrico Damiani, dyrektor biblioteki sejmowej w Rzymie, wybitny sławista,

znakomity tłumacz „Trenów” Kochanowskiego, wielu arcydzieł Mickiewicza, niepoprzestający zresztą na naszych klasykach i romantykach, lecz zarazem tłumacz naszej literatury przedostatniej, t. j. „Godów Życia” Dygasińskiego, „Hymnów” Kasprzowicza, obecnie zaś zajęty przekładami z naszej literatury współczesnej.

Dalej, — literat i dziennikarz, tłumacz polskiej literatury współczesnej Egisto de Andreis, znany ze swej publicystycznej działalności, owianej wielkiem znawstwem i miłością rzeczy i spraw polskich.

Pani dr. Agosti z Turynu, autorka licznych studjów o sztuce polskiej, tłumaczka romantyków naszych, specjalizująca się w badaniach Towiańskiego.

Dr. Antonio Stefanini, lektor języka włoskiego na uniwersytecie poznańskim. Doktora Stefaniniego witają słuchacze entuzjastycznie, dowiedziawszy się od doktora Pollaka, że młody włoski literat doktoryzował się „z Fredry”. Jakże wielkiej dokonać musiał pracy tak w sensie przeniknięcia języka, jak też poznania naszej kultury, by ogarnąć tak złożony dla cudzoziemca temat, jakim musi przecie być nasz Fredro!

Dr. Nelli Nucci, lektorka języka włoskiego na uniwersytecie krakowskim, autorka cennej pracy o Krasińskim.

Dalej studenci i studentki uniwersytetów włoskich, między innymi córka znakomitego towiańczyka Attiglio Vegere, wreszcie, — jakże dla nas wzruszające, — pośród tych Włochów, nazwiska polskie, potomkowie dawnych emigrantów jeszcze po roku 1831-szym, którzy z Polski przybyli do Francji, z Francji przewędrowali do Włoch, z Włoch wyszli za pracą na odpowiedzialne stanowiska w kolonjach włoskich, w przeróżnych kolejach losu już nawet język zatracili, nie zatracili jednak miłości tradycji, po którą wracają teraz do Polski młodzi prawnukowie powstańców.

Po prezentacji dokonanej przez p. Doktora Pollaka, rozpoczyna wykład profesor E. Romer. Wykład ten, — swego rodzaju arcydzieło prostoty, pięknej wiedzy i najtrafniejszego stylu, — zapoznaje gości włoskich z naszym położeniem geograficznym, z łącznością geologiczną naszych ziem, z jej bogactwami i wreszcie z typem mieszkańca, którego znają już Włosi z wieszczych ksiąg, a teraz poznać mają w codziennem życiu.

Wykład profesora Romera, jak każdy wykład, nacechowany istotną wiedzą i ukochaniem przedmiotu grani czy niejednokrotnie z poezją. Spad rzek i układ gór i rozmieszczenie wyżów, dolin znajdują głębokie, piękne swe odbicie w typie i pracy mieszkańców tej ziemi.

Goście włoscy, profesorowie, doktorzy i studenci notują skrzętnie. Przez szerokie okna muzeum Chałubińskiego widać góry, harmonijnie od Giewontu i Czerwonych Wierchów spadające na zachód. Światło dnia srebrne, matowe, światło pierwszej jesieni, odznacza kształty lasów i wielkich fal kamienia.

Ów dzień jesienny, chłodny, czerstwy jakże innym jest od dni gorących, z pod światła których przyjechali

tu do nas nasi goście. A nasza zielen o ile jednak uboższa wydać się musi od ich zieleni. Lecz przyjechali poznać te widoki odmienne, pociągnięci rzeczą wspanialszą, od najpiękniejszych skarbów i cudów przyrody, pociągnięci głosem genjuszu, który ustami wieszczów przemawia z tej ziemi.

Juljusz Kaden-Bandrowski.

O BIEDZIE LUDZKIEJ

*Ten biedny, co żebrze codziennie
Niech będzie nakarmiony,
Tego, co padł w ulicy,
Niech wyniosą czyjeś ramiona,
Ten, który niema szat
Niech będzie, ciepło ubrany,
Ten, który śpi w bramach domu,
Niech znajdzie spokojne ściany,
Ten, który jęczy we łzach
Niech będzie pocieszony,
Ten, który umiera w obczyźnie
Niech wróci w ojczyste strony,
Ten, który sercem miłuje
Niech będzie miłowany,
Ten, który krwawi rozdarty,
Niechaj zagoi rany,
Ten, który płacze w rozpacz
Niechaj ma lzy otarte,
Ten, który w nic nie wierzy,
Niech wierzy w kłamstwo: żyć warto.
A ten, co żyje wciąż w smutku
Niech smutek zmienawidzi,
A ja, niech raz wreszcie oślepnę
I nędzy ludzkiej nie widzę.*

CIEŻAR ŻYCIA

*Jak osioł obciążony
Zbyt ciężkim ładunkiem kroczę.
By życie unieść, wyteżam
Wszystkie me moce!*

*Krzyż się podemną ugina
Ciężar, ku ziemi mnie gniecie
Jestem Atlasem, który
Nie może ciebie udźwignąć, świecie!*

Wojciech Bąk.

KRYTYKA CZYSTEGO TALENTU

Krainy poza dobrem i złem niema: zło i dobro jest w nas. Jesteśmy miarą wszechrzeczy, ale nie miarą do wolną. Godzimy się z Goethem, że „człowiek dobry w mrocznym swem dążeniu jest sobie zawsze świadom prawej drogi”. Chcemy tworzyć dobro, zwalczać zło. Wiemy co hańbi i co cześci. Moralność ma psychologję i fizjologję. Solidarność społeczeństwa ludzkiego tkwi w każdej

kropli krwi, a gdy egoizm chce się wyłamać obowiązkowi kłamstwem, krew sama rzuca się w twarz kłamcy, aby go oskarżyć przed społeczeństwem. Wiemy, że prawda to praca i walka, zawsze wyrzeczenie, często cierpienie. Prawda to włączanie się jednostki w społeczeństwo całkowicie i bez reszty. Kłamstwo jest omijaniem obowiązku. Czysty talent jest Herkulesem na rozdrożu: może pójść za rozkoszą, może się zdecydować na obowiązek.

Społeczeństwo to praca bezustanna, bo nawet przyjemność i rozrywka jest gromadzeniem nowych sił dla pracy. Gromada ludzka dopiero wówczas jest doskonale uspołecznioną, gdy obowiązki i rozkosz stają się pojęciami zamiennymi. Takich idealnych społeczeństw nigdzie niema: obok typu robotnika — bohatera istnieje wszędzie typ pasorzyta — sybaryty. W społeczeństwach osiadłych znajduje się aż nadto koczowniców istniejących poza społeczeństwem i jego kulturą. Ze względów utylitarnych te typy koczownicze przybierają wszystkie znamiona i cechy typu osiadłego, uspołecznionego a nawet bohaterskiego. Mamy tu do czynienia z objawami mimetyzmu społecznego. Za pracę płaci społeczeństwo pieniędzmi, za bohaterstwo czcią i miłością. Typ koczowniczy, niespołeczny, sięga po jedno i po drugie, kłamstwem omijając pracę i bohaterstwo. Dopóki przeważa typ osiadły, robotnika — bohatera, typ niespołeczny i pozaspołeczny musi się we wszystkim przystosowywać do woli twórczej większości, ale gdy typ niespołeczny wysuwa się na czoło w jakiegokolwiek dziedzinie życia, czy to liczbą, czy energją jednostek, wówczas trzeba się mieć na baczności.

Poezja nie jest czemś indywidualnem, dowolnem, przypadkowem. Poeta jako człowiek jest ogniwem łączącym całą przeszłość swego społeczeństwa z całą przyszłością świata. Cechy fizyczne i moralne wszystkich jego przodków, zbrodnie i bohaterstwo, nienawiść i miłość, drapieżność i poświęcenie minionych pokoleń wszystko to żyje w nim, manifestuje się i przekazuje się światu w taki lub owaki sposób. Ale świat dzieli się na Don Kichotów ideału, znajdujących szczęście i rozkosz najwyższą w pracy i poświęceniu, i na Sanczo Pansów, marzących tylko o gubernatorstwie na wyspie, która może sobie leżeć gdzie jej się podoba, byle była zasobna w uciechy doczesne. *Ubi bene ibi patria.* Dla Sanczo Pansów Don Kichoty są idjotami, a zażywny, gospodarny mieszczuch — wszystko jedno, czy piecze bułki, czy wyrabia poezje, zawsze się będzie czuł wyższym od idealisty, szukającego po świecie zła dla samej rozkoszy zwalczania go.

Poeta jest dzieckiem swego społeczeństwa albo rezydentem. Raz widzimy wspaniałą przejaw rozkoszy obowiązku, innym razem patrzymy na nakazany sobie obowiązek rozkoszy. Dla wielkiego filozofa rzeczywistością nie jest świat zmysłowy, ale ta pozazmysłowa istota rzeczy, która się przejawia w zjawiskach. Świat ducha jest realniejszy od świata zmysłów: wielkie wojny i rewolucje są przesądzone w swoich tragicznych perypetjach w duszach i sercach ludzi, zanim wybuchną rzeziąmi i pożarami. Kolumb przed odkryciem Ameryki musi odkryć własne bohaterstwo. W świecie ducha tak samo, jak w świecie zmysłowym są wspaniałe świątynie i cuchnące lupanary, błogosławione pracownie i brudne szynki, urodzajne łany i moczary ziejące chorobami, zaciszne mieszkania i płonące kamienice. Robotnik — bohater tworzy i chroni, pasorzyt — sybaryta rezyduje i używa.

Jakież głębokie jest słowo ewangelji o światłości, która w ciemnościach świeci! Jest to wiekuista treść dziejów świata. Światłość świeci, a ciemności nacierają ze

wszystkich stron; aby je pochłonać. Dusze ludzkie toną w moczarach, gnuśniej w jakiejś zatrutej atmosferze szynków i zamtuzów, wołają o ratunek w płonących domach. Ratownikiem jest tu poeta — bohater. Koczownik—włóczęga omija moczary, w których ktoś tonie, krzykowi ludzi, którzy giną w płonących domach przysłuchuje się jedynie dlatego, aby znać i to wzruszenie. Natomiast z rozkoszą przysiadzie się do pijaka w karczmie, wdzieczyć się będzie do dziewczek ulicznych, basować będzie wszystkim, którzy fundują. Umieją tacy cudownie opowiadać o strachach i wilkołakach, o przygodach z czarownicami, o uciechach sekretnych swoich lubieżnych duszynek, ale nie znają żadnego Enocha Ardena, który dla spokoju tych, co go oplakali jako umarłego, pójdzie z własnym smutkiem w świat, nie nie słyszeli o niejakim Raduskim i kpią sobie z Ordonu. Ale człowiek spokrewniony z Raduskim, Ordonem i Enochem Ardenem, wie kim byli i za co się ich kocha.

Obowiązek bohaterstwa duchowego jest nieraz cięższy nieskończenie od najczęstszej powinności żołnierskiej. Giordano Bruno, którego myśl poszybuje w nieskończoność kosmosu, zginie na stosie. Mickiewicz, który głos żywego sumienia poczyta za wyższy od kanonów instytucji sprzymierzającej się z carem przeciw jego narodowi, zostanie nazwany agentem carskim. Nawet po dziesiątkach lat historyk literatury, hrabia Tarnowski, zastanawiając się nad krytycyzmem Mickiewicza wobec oficjalnego kościoła, uzna, że pobudką jego było sumienie uczciwego człowieka, ale dziwnymi zaiste drogami dojdzie do wniosku, że ta obrona własnego narodu była nie upadkiem, ale obłędem. Służenie prawdzie nie jest łatwe i lukratywne i dlatego zastrzeżony jest ten przywilej tylko największym synom ludzkości: Husom, Galileuszom, Mickiewiczom... Jakże daleko odeszła poezja dzisiejsza od Reduta Ordonu i katedr Mickiewicza! Mimowoli przypomina się bolesne westchnienie Bronisławy Ostrowskiej:

Niema rzeczywistości. Niema prawdy i treści,
Są tylko puste kształty, w których nic się nie mieści.
Jak dziecinne wydumuszki, jak ślimacze skorupy,
Puste chodzące trumny, puste chodzące trupy,
I jako muszle w górach, świadczące wielkie słowa,
Że i tu niegdys grzmiąca fala oceanowa.

Pozostała po tej grzmiącej fali sadzawka z altanką dla schadzek sentymentalnych Filonów z wyemancypowanymi Laurami. Młodzi poeci myślą, że trzeba się uczyć sztuki poetyckiej, tej jakiejś retoryki i grandilokwencji. Nie wiedzą, że poezja to głębokie umiłowanie wielkiej sprawy, i że wielkość poety od tej właśnie miłości i jej przedmiotu zależy. *Ama et fac quod vis* — oto cały katechizm wielkiego świętego, Augustyna. Ukochaj mocno, tkliwie, całym sercem masę ludową, niemą i cierpiącą, przyszłość narodu i ludzkości, albo choćby ptaki i kwiaty, a zobaczysz, jak wymowną jest miłość, nawet gdy przemawia niezdarnymi rytmemi i naiwnymi rymami. „Hymnu o słońcu”. I w dziedzinie poezji obowiązuje mądra stara sentencja, że naprzód trzeba żyć, a potem dopiero można filozofować. Bez wielkiej miłości niema wielkiej sztuki. Snobizm może zmałpować największego poetę, ale czytelnika i słuchacza nie oszuka.

Za wielką miłością idzie zawsze wielka prawda i prawdziwość. Nic nigdy nie wymyśli i najbujniejsza fantazja większego i piękniejszego od powszedniej prawdy.

Komunał jest rewelacją, gdy się nim posługuje człowiek rzetelny. Któż zdoła przewyższyć czar prostej ludowej piosenki i to na czym ten czar polega? Oto za słowem czujemy żywe serce ludzkie, jego radość i jego smutek. Nie przeszkadza nam tu wizja snoba siedzącego nad biurkiem i rozprawiającego się z naiwnościami i wyrafinowaniami czytelnika. Odczuj, zrozum, a potem mów prawdę. Każdy z nas wie, że prawda jest jak wichura. Gdziekolwiek i kiedykolwiek przemówi słowem, muzyką, czy też czynem, zawsze porywa za sobą. Po wysłuchaniu utworów Chopina, Beethovena, Bacha, idzie się gdzieś w ustronną ulicę płakać nad swoją niemocą. I wtedy w kółko tłumczy się po głowie to jedno pytanie: Mój Boże, cóż mam czynić, aby w braciach swoich zyskać żywot wieczny? Tak samo pytał bogaty młodzieniec Chrystusa, dowiadując się o warunki wejścia do królestwa Bożego.

Miłość i prawda to wszystko. Ambicja osobista? Owszem, ale tylko ambicja królewska. Mądry król staje się wielkim jedynie przez podnoszenie własnego narodu. Mickiewicz stał się wielkim, bo chciał swój naród „dźwignąć, uszczęśliwić, chciał nim cały świat zadziwić”. W ewangelji można się doczytać prawd tak wiekiustych, jak wszechhistnienie. Chrystus powiada, że kto duszę swoją straci dla ideału, ten ją zyska dla wieczności. Kto chce iść w wielkość, ten musi się zatracić w ideale. Co za cudowny wielki poeta jest Pompejusz, którego sentencję powtarza cały świat! Oto na morzu Śródziemnym szaleje długotrwała burza. Pompejusz ma zawieźć głodnym rodakom zboże i czeka na południowym jego brzegu ze swoją flotą na ucieszenie się burzy, ale gdy to trwa przydługorusza w drogę, a na myśl o tem, że może zginąć odpowiada sobie nieśmiertelną sentencją: „*Navigare necesse est, vivere noc est necesse*”. Żaglować trzeba koniecznie, żyć nie trzeba koniecznie. To jest filozofia wszystkich bohaterów. Tak czuli i myśleli legioniści, gdy każdy za siebie rozumował: Naród żyć musi, jednostka żyć nie musi.

Sentencja Pompejusza to jeden z największych utworów poetyckich. Krótki, zwięzły mocny. Poeci — bohaterzy są wodzami i nauczycielami. Idą na czele, a ludy idą za nimi, chociaż nieraz buntują się przeciw tym swoim wodzom. Natomiast poeta mały, niły, ulubiony to librecista snobów. Nie jest wodzem ludu, ale echem obsługiwanych gromadek, których życzenia wypełnia swem wygadaniem skwapliwie i usłużnie. Daremnie szukalibyśmy w ich pieśniach i piosenkach echa wielkich zmagani dobra ze złem, poszukiwań wiekiustych prawd. W ich utworach niema nic o tem, jak się zdobywa kawałek chleba, jak się za rozkosz płaci obowiązkiem. Ci ludzie nie tkwią w historii, ale rezydują w zaciszach pozahistorji, gdzie już się wszystko stało i nie się nie dzieje.

U wszystkich wielkich poetów rozkosz miłości okupywana jest tragedją. Niekiedy płaci się za nią życiem, zawsze płaci się ciężkim obowiązkiem wychowania nowych pokoleń. Miłość łatwa, dostępna każdemu, jest nie społeczna, pospolita i brzydka. Dlatego wielcy poeci zawsze uświęcali miłość tragizmem, a jeśli pojawiali się zdolni poeci wystawiający figle amora, to zawsze byli zwiastunami upadku. Dzisiaj spotykamy wielkie mnóstwo poezji erotycznych, których przeznaczenie jest dość wyraźne. Bezideowy eunuchizm, który nawet pojęcia niema jak wielkim skarbem jest życie dla człowieka przeobrażającego świat pracą i bohaterstwem, bawi się w przewlekłym infantylnymie tą siłą, której sublimacje i hypostazy

dają arcydzieła sztuki i większe od nich arcydzieła woli i charakteru. Na dzieci ulegające brzydkiemu nałogowi, jest jakiś sposób, wygadany, zdolny masturbant udrapuje się w tożę artifexa i zacznij z wielkim hałasem bronić prawa sztuki, chociaż jest to obrona ekshibicjonizmu. Typ uspołeczniony zawsze poświęci się społeczeństwu, typ antyspołeczny zawsze umie poświęcić społeczeństwo swoim własnym upodobaniom. Czystej sztuki i czystego talentu w znaczeniu obojętnym dla społeczeństwa niema i być nie może.

Historja poucza nas, że tylko wielki ideał zabezpiecza człowieka przed groźnami dla społeczeństw recydywami antyspołecznymi. Wychowanie nawet religijne, ale mechaniczne, nie zabezpiecza człowieka przed całkowitem zobojętnieniem dla spraw społecznych. Po wspaniałym rozkwicie wieku szesnastego, złotego wieku kultury polskiej, upadek cywilizacji i państwa polskiego przychodzi tak szybko, tak brutalnie bezpośrednio, że dotychczas jest zagadką. Ale przestaje nią być, gdy się wczytujemy w życiorysy ludzi wybitnych okresu upadkowego. Ludzie ci nie interesowali się narodem i państwem poza sobą, swymi korzyściami i przyjemnościami. Wyjątku nie stanowiły nawet tak wybitne jednostki, jak Jan Sobieski. Jest coś wstrząsającego w słowach tego obrońcy chrześcijaństwa i pogromcy Turków, który umierając, drwi sobie z biskupa Załuskiego, który chce napomnieć króla, aby uporządkował swoje sprawy i mówi mu delikatnie o tem, że sam pisze swój testament. „Ty, mądry biskupie, piszesz testament! Co ci po testamentcie? Niech ogień spali ziemię po mojej śmierci, cóż mnie to obchodzi?! Czy myślisz, że lepiej będzie na przyszłość, skoro tak żniwo złego urosło? Czy myślisz, że potomność, w której grzech, złość i zdrada tak wybijały, będzie się do rozkazów twoich stosować po twojej śmierci, skoro cię za życia słuchać nie chciała? Poco narażać egzekutorów na zgubę duszy, na pokusę niewykonania obowiązku? Raczej pamiętać o zbawieniu własnym i nie troszczyć się o nic więcej!” Ostatnie słowa świadczą, że zdania te wygłosił człowiek religijny. Co za tragiczne załamanie w człowieku, który bez najmniejszego wahania pośpieszył ratować Wiedeń, gdy dla własnego kraju i własnego narodu w obliczu śmierci ma tylko obojętność!

Poezja jest najpotężniejszą sugestją, jaką wyobrazić sobie można. Zajmuje się nią przedewszystkiem młodzież entuzjastyczna i bezkrytyczna. Otóż poezja sugestjonująca indyferentyzm i relatywizm moralny, nie może wychować bohaterów i robotników, ale conajwyżej mimetyzujących się pasorzytów. Z okazji zjazdu legjonistów w Wilnie było tam kilkunastu wybitnych korespondentów zagranicznych i ci ludzie poraż pierwszy z bliska widzieli Piłsudskiego i jego żołnierzy. Artykuły, które pojawiają się w pismach zagranicznych o idei legjonowej i legjonistach, nie ukrywają swego podziwu dla ludzi, którzy dobro społeczeństwa stawiają ponad szczęście osobiste, ponad życie własne. W ich postawie moralnej jest piękno, któremu żadna poezja nie dorówna, ale wobec takiej poezji czynu powinna czuć się zobowiązana poezja słowa. W kraju, który buchnął wulkanem takiego entuzjazmu, jak Legjony, egotyzm, narcyzowość, ekshibicjonistyczny erotyzm, sybarytyzm we wszystkich postaciach i odmianach, jest zgola nie na miejscu. Wzywano już poezję, aby wyszła na ulicę. Trzeba ją jeszcze wezwać, aby wstąpiła na wysokie góry i rozejrzała się dokoła. Aby zstąpiła w podziemia duszy społeczeństwa i ludzkości, a przedewszystkiem, aby okiem wyteżonym spojrziała w daleką przyszłość.

Zawsze i wszędzie wielka poezja kroczy przed życiem, wyprzedza je, wskazuje mu drogi. W Polsce stało się inaczej: wielka poezja czynu legjonowego poza legjonistami nie znalazła tego oddźwięku, jaki uskrzydla pokolenia. Poeta stracił kontakt z robotnikiem — bohaterem, przemienił się w marudera i daleko za frontem pracy i walki romansuje z życiem i z dziewczętami, relatywistycznie i agnostycznie. Żyje za tych, którzy wywalczyli mu wolność słowa i milczy za tych, którzy padając w walce o wolność jemu słowo oddali. Ich hasłem było: *Navigare necesse est, vivere non est necesse*. Gdzie jest pieśniarz, który ten temat rozwinie na miarę stulecia i całej ludzkości? Gdzie są dłużnicy tych, co na wieki oniemieli, aby poeci polscy mogli mówić całą prawdę?

Paweł Hulka-Laskowski.

JOACHIM LELEWEL JAKO MIŁOŚNIK KSIĄŻKI

II.

Bibliotekarskie zajęcia Lelewela nie wzbudzały w nim samym wielkiego entuzjazmu. Artur Śliwiński w monografji „Joachim Lelewel zarys biograficzny lat 1786 — 1831” przytacza sporo wyrzeknięć uczonego historyka na włożone nań obowiązki z przydaniem mu do pomocy „całego jednego do posługi” frotera i personaliów pięciu, z tych będzie dwie do użycia”. Wogóle na gruncie warszawskim Lelewel nie czuł się dobrze. Z Uniwersytetem Warszawskim w luźnym pozostawał związku, a w świecie uczonym nie cieszył się sympatją i uznaniem. Towarzystwo Przyjaciół Nauk patrzyło na niego z ukosa. Przyłączały się do tego obawy, że zajęcia biblioteczne nie pozwolą na wykłady, które w sferze jego ambicji były wszak na pierwszym planie. Obawiał się, co ważniejsza, że zajęcia te sparaliżują twórczość pisarską, która była jego ulubioną dziedziną i istotnym jego żywiołem (op. cit. s. 118—119). Dzieła Lelewela to nie tylko pomniki uczoneści, to nadewszystko pisma, otwierające dostęp do świata polskich myśli i uczuć dojrzewających jeszcze w przedpowstańciewej atmosferze, stanowiącej przewagę odrębności naszej cywilizacyjno - narodowej, pod miernym damoklesowym zabarwieniem przemocy, nad przyczajoną już od Wschodu wrogą wiarą, służalczą nauką, etyką niewolniczą.

Jeśli z tych zajęć lelewelowskich musowych powstało dzieło, w którym przed czytelnikiem uważnym zwierza się pisarz, artysta i uczonec zarazem, zasługa to nie tylko wybitnej indywidualności wielkiego historyka, który tym sposobem peregrynacje swoje wśród ksiązek najdawniejszych zadokumentował, ale i wynik zgóry przesądzonego planu i metody pracy: „Przy wzrastającej u nas liczbie pism bibliograficznych nie dosyć jest poprzestać na de Burze, na Bentkowskim i przypadkowym widzeniu własnym” (s. 112). A że „nie godzi się bezdowodnie coś na wiatr sobie rościć, domysły bezzasadne tworzyć, słowem podkomponowywać (s. 51), są na różnych punktach małe traktaciki w całą osnowę powkładane, nasiane gdzieś gdzie ustronne drobiazgi”, zawsze jednak czyni to autor wracając do roztaczanego wątku, do dzieł Bandtkiego „w nich wsparcia znajduje, niemi całość tego historyczno-bibliograficznego dziełka kształci”. W ramach tak zakreślonych urosło dzieło zgola odrębne i to, co wiąże w jedną

całość osnowę, traktaciki i drobiazgi — styl — folguje na każdym kroku bibliofilskim sentymentom i rozmiłowanie się w szczególnych sztuki drukarskiej ze szlaku wiedzy obiektywnej zdaje się chwilami wkraczać „na manowce” sztuki dla samej sztuki.

Ileż — to rzeczy kryje w sobie „papier tęgi, bez breg ale szorstki, — znaki jego trojake: księżyc rogami do dołu, a na nim zatkwna gwiazda; pelikan; niska kolumna z niejaką na wierzchu koroną” (s. 32 — 33). Wszystko w jednej księdze. Innego papieru — „znaki wielorakie; pelikan czasem większy, częściej mniejszy i nie wyraźny; róża bez korzonka mniejsza lub większa; niekiedy głowa wołowa z zatkwną pomiędzy rogami gwiazdą; inne znaki nie wyraźne na kształt litery T na bok położonej”. Tyle o znakach wodnych! Czcionki i ozdoby graficzne w cytowanych już ustępach bibliofilską u Lelewela znajdują ocenę. Druk, t. j. czcionkom, biegłego starozakonnego gisera Zimela Nochimowicza w Grodnie „nie brakowało nic dobroci charakteru mogącego się z najpierwszemi w Europie równać. Gładki dość lekko stojący, rzadka nierówność, może nie ma powabu, ale przyzwoity cień i prostota bez wymusu. A równie piękne są Zimela Nochimowicza charaktery łacińskie, jak hebrajskie i rosyjskie” (s. 226). „Na pierwsze przedsięwzięcie druków w polskim języku piękniejsze litery, bo w zagęściu tresowniejsze, tudzież drukarskie ozdoby i liczne rycinki i floresy czyli kwiaty przyrządzone” (s. 169) Druki Unglera „pierwsze bardzo są niekształtne, a chociaż Unglerjusz nie był w stanie od razu je zarzucić, widać jednak ciągle usiłności ulepszenia, zrównania innym krakowskim typografom, a przytym strojeniu druków swoich” (s. 78). „Unglerowskie słupy pojedyncze do przystrojenia kart, wstępów, przypisań używane — dziwnej są formy i pstrocinny na nich zawieszane, kutasy i dzwonki. Mniemałby kto, że płód indyjski!” (s. 83).

Gdy o rycinach mowa, precyzja języka Lelewela uwydatnia niewątpliwie doświadczenie własne historyka w dziedzinie tej umiejętności. O sztycharskich zajęciach Lelewela czytamy w „Wielkiej Encyklopedji” (art. „J. Lelewel”): „Nauki, które uprawiał Lelewel, wymagały ilustracji, będąc zaś niezamożnym, nie mógł w tym celu zamówić kosztownych miedziorytów, nauczył się więc sztycharstwa i dzieła swe przyozdabiał własnoręcznie wykonanymi miedziorytami, rytymi na płytach miedzianych tylko za pomocą zwykłego szczyryka, dając wierną, chociaż nie artystyczną podobiznę przedmiotu. Wszakże ostatnie jego prace sztycharskie przedstawiają znaczny postęp, widać już pewną wprawę ryłca, a raczej szczyryka”. Wobec powyższego szczególnego znaczenia nabiera uwaga jego na str. 109: „Spodziewam się, że zwrócę baczność bibliofilów na rycinne drobiazgi”, lub „doszukiwanie się niejakiego sensu w tłumie rycin, jakie druki hallerowskie z wierzchu i od spodu obciążają” (s. 82). Osiemnaście tablic, przydanych do dzieła Lelewela w wydaniu H. Wildera, obrazują systematyczność uczonego w sojuszu z zapalem miłośnika, kopującego wszelkie odmiany ozdób graficznych w jakie obfitowały stare księgi. Znajdują się tu również cztery tablice niedołączone do wydania z r. 1823/26, które ukazały się poprzednio w „Albumie rytownika polskiego” w Poznaniu r. 1854. Jedna z tych tablic, ósma, pozwala ocenić, jak dalece opis indyjskiego charakteru „słupów ungerowskich” odpowiada rzeczywistości. Lelewelowskie kryteria estetyki bibliofilskiej mogą nie dogadzać naszym upodobaniom, ale zasługą jego pozosta-

nie uwydatnienie w dziele uczonego przede wszystkim, wartości poszczególnych elementów kompozycyjnych, nadających drukom wszelkim „piękne wejście” (s. 221).

Pozostaje nam jeszcze w myśl powiedzenia „styl — to człowiek” wyróżnić i wyodrębnić pewne pod tym względem osobliwości pracy bibliograficznej Lelewela-bibliofila. Pisząc „wypadało mi jakieśkolwiek dowody złożyć, żem rzecz, koło której się chodziło, starał się poznać”, autor „Bibliograficznych Ksiąg” ujawnił niejako najgłębiej i najrzetelniej, jak dalece doła i niedoła książki interesowała go, pochłaniała, fascynowała może. Chodziło się po bibliotecę gdy i obowiązek, i ludzkość nakazywały być ochoczym do przyjmowania ciekawych gości i odwiedzało się samemu Wróblów (psalterz wielokrotnie przedrukowany) aż w Puławskiej Bibliotecę, sięgało się po informacje do każdej dostępnej biblioteki i trafiało się, gdzieś na Wołyniu na książki sypiane na jedną po środku izby kupę, która przysiadła ku podłodze, a tak spoczywające księgi pobutwiały, przegniły, grzybami przerosły... Poznało się Polskę wzdłuż i wszerz, mierząc ją krokiem proroka, który idzie do góry... nawet jeśli ma trafić na kupę gnijących ksiąg, i wybiegało się wstecz myślą i duchem daleko poza rubież czasu nielitościwego, aby stwierdzić, wyśledzić, pochodnią wiedzy zniecać oświetlić zawilgość zagadek dziejowego bytowania. W niezwykłe szerokiej sferze badań bibliograficznych Lelewela ruch, rytm, dynamika kojarzą się ciągle w sposób trudny do pogodzenia z zajęciami takimi, jak „policzenie obu synodalnych statutów liter wielkich i wysztichowanie ich”. Tak mając czas na wszystko, zdaje się Lelewel zabawiać czasem sposobnością przypadkową wciągnięcia i czytelnika w wir rzeczy, koło której się chodziło: „Użycie maleńkich herbów i floresów w officynie samego Hallera było jak krótko błyskający meteor, który pokazał się, i więcej nie odnawiał” (s. 84). „Ungler ze swoją drukarnią z miejsca na miejsce przenosił się, a Haller zbliżał się do kresu życia swego” (tamże). „Od r. 1470 Niemcy, Polacy, Włosi zecerowali, drukarskie tułactwo wzmagalo się, przez obowiązkowe w terminowaniu majstrowskim pielgrzymowanie zjednane” (s. 167). „Z początkiem XVII wieku rój ukazał się drukarzy, jakby piśmiennictwo polskie świetne i kwitujące było! ale drukarzy, którzy do połowy wieku nie dotrwali... Cezarych drukarnia i Szedelów patrzyły na przemijanie tyłu, na tak liczny wzrost i upadek... Siedemnaście zabłysnęło i zgasło”, (s. 185). „Od połowy XVII-go wieku poruszyła się cała liczba drukarni. Od 1550 do 1560 w przeciągu wieku około piętnastu miejsc w Małej Polsce, około dziewięciu w Wielkiej Polsce (nie licząc w to Prus), około siedmiu w Litwie, i kilka miejsc w Prusiech poruszane prasy widziały. Z tym wszystkim, wszędzie razem wzięte, krakowskim w żaden sposób nie zrównają. Dd 1550 do 1600 poruszenie jest największe... Ukazało się officyn różnych miejsc i różnych imion blisko pięćdziesiąt... W niektórych miejscach po kilku przemijało lub razem ukazywało się, a jeden drukarz czasem we dwu miejscach officyny otwierał, a częściej po kilka razy miejsca zmieniał” (s. 192). „W XVII w. po miastach najpierwszego w Rzeczypospolitej rządu drukarstwo na zawsze upowszechniło się. Wiele officyn przemienęło, po wielu miejscach bardzo docześnie zabłysnęły, jednak ich liczba w biegu lat rozkrzewiała się po całym kraju” (s. 204). „Grodzińska drukarnia i po upadku podsk. Tyrenhauza nie ustawała ruszać się; Warszawską Łuskińska ciągle wydawaniem gazet utrzymywał przy życiu” (s. 222).

O sobie tak często wysłowi się Lelewel: „Kiedyśmy tak daleko od dzieła Bandtkiego odbieżeli, pozwólmij jeszcze dalej pióru swemu bujać i przeprowadzać czytelnika całe niespodzianymi skokami z księgi na księgę. Dostyc nam za rzadkościami przy Uniwersytecie Warszawskim uganiać się... Dorywcze wysoki nasze... Kładziemy naszymu polotowi koniec...” (s. 126, 160, 161). Cóż dziwnego, że to ożywienie powszechne może się czasem udzielić książkom: „Gdzieby drukowane były? nie o tym same kalendarze nie powiedziały” (s. 69), drukarnie zaś „jedne bardzo czynne, inne niekiedy do czynności zrywają się”. (s. 215).

„Tak nagle z historyka wybłyskuje literat”, pisał o Lelewelu St. Krzemiński, mając na względzie polemikę jego z Mochackim. Działo się to jednak i w pracach z zakresu nauk pomocniczych do historii. Jest kilka ustępów w „bibliograficznych księgach”, w pierwszym tomie mianowicie, które służyć mogą za wzór prozy bibliofilskiej i powinny wejść w skład wypisów szkolnych dla młodzieży, stając się narzędziem pośrednim propagandy miłośnictwa książki już na ławie szkolnej.

Po drobiazgowem porównaniu wszystkich szczegółów, każdej litery dwóch najdawniejszych statutów, czemu poświęca stronę całą, najeżoną wdaniem się w odmiany abecadła wersalowego, daje Lelewel również na jednej stronie świetny skrót dziejów introligatorstwa w Polsce od najdawniejszych druków do początku XVIII wieku (s. 67 — 69).

W jaki sposób zachodzą odmiany na prasie, dzięki którym na różnych punktach niezupełnie podobne do siebie mogą być egzemplarze jednego dzieła, chociaż zawsze jedno wydanie stanowiąc, objaśnia nasz autor na przykładzie statutu Łaskiego, żywo, plastycznie, zajmująco, poczynając od słów, odsłaniających każdemu wewnątrz drukarni: „Ktokolwiek pochodzi koło pras drukarskich wie dobrze jak się to dzieje”. (s. 131 — 132). „Ponieważ kreśląc obraz rzeczy drukarskiej w Polsce tytu dzieł rzadkich i nadzwyczajnych dotykać przychodzi”, pragnie Lelewel w ogólnych bodaj zarysach wyjaśnić proces kształtowania się cen na książki, ich modyfikacji, spowodowanych tem, że często zapas miłośników miary niema. Czyni to na str. 165 — 166, nie tając jak niełatwym jest dobranie „egzemplarza całkowitego, z dobrego odcisku, czystego, zdrowego, dobrze zakonserwowanego, jak najmniej obciążonego”, i w odsyłaczach przeważnie do tekstu na str. 168 — 225 sypie dosadnymi niezmiernie określeniami wzrostu i zniżki cen na książki: za egzemplarz jakiś”, dukata można dać, można się pomykać, nie żałować, odżałować godzi się... Cena na dukacie stać może, może utrzymywać się koło dwóch dukatów, przechodzić za 80 talarów... Niesiecki już chodzi do dwudziestu kilku dukatów... Na wszystkie tomy zbioru Miclera trzeba nieocenionego przypadku, za pierwszy 20 złotych... Tom ósmy volumina legum wyciąga od potrzebujących po 50 złotych... Dwa tomy dzieła Czackiego o litewskich i polskich prawach od 4 do 7 czerwonych złotych powołują, bo istotna z przedmiotu jego wartość wyciska te summy od potrzebujących, a wszakże niedostatek wzrasta”... i t. d. O wielkiej przysłudze, jaką dla ojczystej literatury zdziałał by ten, kto by przedsięwziął napisanie historii drukarstwa i drukarni w Polsce pisze Joachim Lelewel, nie przeczuwając może, iż w sto lat po nim jeszcze nie dokona się takie przedsięwzięcie, aczkolwiek opisy jego dorywcze biegunowo przeciwnych zjawisk — upadku drukarstwa,

na str. 216 — 217, i rozkwitu wielkiego zakładu N. Glücksb erga w Warszawie, na str. 229 — 230 — dają wyraźne pojęcie jak dalece umiłowanie przedmiotu, w którym „uwikłany jest zmienny stan naukowości narodu, jego usposobień i piśmiennej pracy”, może przyozdobić, upoetyzować niemal, prozę dziejopisarską.

Liczne są trudności, gdy usiłujemy ogarnąć jednym rzutem oka różnorodność zjawisk, związanych z samym wspomnieniem Lelewela. Sylwetka Lelewela-bibliofila zatracza się w cieniu wyniosłej postaci Lelewela-działacza, polityka, nauczyciela, uczonego. W r. 1918 ukazała się dopiero monografia o nim, pierwsza próba życiorysu Lelewela aż do epoki Wielkiej Emigracji, pióra Artura Śliwińskiego, który pisze m. in. w przedmowie: „Nie ulega kwestji, że z czasem powstanie, bo powstać musi, cały gmach wiedzy o Lelewelu”. W gmachu tym nie powinno zabraknąć niczego, co odsłania nam w uczonym i patryjocie człowieka, który pierwszy w Polsce rzucił podwaliny pod uszlachetnienie i usystematyzowanie miłośnictwa książek dziełem wyczerpującem zasób własnej swojej wiedzy i doświadczenia w tej dziedzinie.

Staraliśmy się uwydatnić to, co w tem dziele dziś jeszcze przemówić może głośno do naszej wyobraźni i pouczyć, że bibliofilskie zapasy i uniesienia źródło swe mają w opoce kultury wspólnej nam wszystkim, a ujście w odzyskanych obszarach płynnego, nieujarzmionego, dumnego żywiołu mowy polskiej, nawet ukrytej w książce chropawej, jak szum oceanu w muszli zwapniałej.

K. Zieleniewski.

NA PROGU NIEPODLEGŁOŚCI

Trudno jest pisać o ostatniej książce Kadena-Bandrowskiego. By oddać jej właściwe znaczenie, by przedstawić jej walory, by zarysować to niezwykle tło na jakim ona powstała i genezę jej rodowodu — należałoby in extenso przytoczyć przedmowę samego autora, dodaną do tej wyjątkowej książki. Nie dlatego, iżby walory jej podkreślał sam autor, nie by jej tło wyjątkowe miał Kaden-Bandrowski sam uwypuklić, lecz przedewszystkiem i dlatego, by w pełni odczuć i jasno zrozumieć stosunek autora do jego dzieła.

Jakikolwiek bowiem był, jest i będzie sąd czytelnika, czy sąd krytyka do dzieła talentu pisarskiego — stosunek autora do jego pracy jest zawsze najbardziej pełnym prawdy, najbardziej rozstrzygającym. Nikt tak jak autor, jak autor który od wielu lat przedzierał się i dalej przedziera z trudem i twórczym mozolem przez gąszcz różnolity mowy polskiej, by z niej najbardziej istotne i ważne słowo wydobyć — nikt tak, jak on sam, nie potrafi lepiej i trafniej osądzić efektu swej pracy, efektu natchnienia i talentu.

Pisze Kaden w swej książce „Na progu”, iż zrodziła się ona w okopach wojny. „Główną pobudką był tu podziw i miłość dla towarzyszy broni, oraz żal bezmierny iż w owoczesnej dezorientacji Narodu lu-

*) Juliusz Kaden-Bandrowski: „Na progu”. Warszawa 1928. Główna Księgarnia Wojskowa.

dzie tak świetni mogliby zejść z tego świata niepostrzeżenie, niezauważeni, nieukochani dostatecznie.

„Uważałem, że walka ich i śmierć, to przecież pobudka i wezwanie, i zawołanie, i hasło dla wszystkich, którzy nie wiedzą, co czynić.

„Wydawało mi się, że literatura piękna, owa najczulsza i najwierniejsza historia obyczaju naszego, gdy później podejdziesz ku tym czasom, mogłaby już tych właśnie ludzi nie zastać w pamięci ogółu takimi, jakimi byli w istocie. Ogół współczesny mało ich znał, niejednokrotnie obawiał się ich jako widm umarłej, szalonej, a bezwocnej przeszłości.

„Wydawało mi się też, że historia wojenna nie uwzględni w postaciach poległych tego, czego historia wojenna nie może zaiste uwzględnić, jako opowieść czynu, nie zaś legendę sentymentu.

„Sądziłem jednak nadewszystko, iż w owych pierwszych czasach naszych wysiłków zbrojnych należy ówczesnej wstrzeźliwości patriotycznej jak najwięcej podawać przykładów samobójstwa męstwa Polaków. Były bowiem czasy, w których umieliśmy walczyć i ginąć pod obcymi rozkazami, wzdrygałiśmy się natomiast słuchać i walczyć i umierać pod rozkazem własnym”...

Z tych pobudek, z tych ciężkich i jakże bolesnych myśli — zrodziła się książka. Powstał pomnik jasny, strzelisty, prosty, promieniejący nazwiskami, z którymi skuta została na wieki śmierć. Nagła żołnierska, w krótkim, urwanym krzyku, jak jastrząb spadająca — śmierć.

Kogóż nie wyrwała ona z grona kolegów, towarzyszy broni, radosnym śmiechem życia śmiercią pogardzących? Nazwiska ich są jak hasła, jak zawołania. Ich sens wiadomy jest nam wszystkim, którzyśmy pospółu z nimi, ramię przy ramieniu do progu niepodległości zgodnie kroczyli. Milko i Kuba Bojarski, Król-Kaszubski i Pększyc-Grudziński, Piątek - Herwin i Krak - Dudzieniec, Sternschus i Żuliński, Wyrwa i Sław-Zwierzyński, Fleszar, Lis-Kula i Sulkiwicz, Szpunar, Medyński i Stefanowicz. I ty, tyli innych...

Zginęli z bronią w rękę. Zginęli z tą bronią, z tym karabinem w rękę, o którym marzyły i śniły pokolenia. Zginęli dobrowolnie i własnowolnie, młodzi i piękni, pełni życia i radości, na włócznie śmierci samochcąc się rzucając by po ich zwłokach — próg Niepodległości towarzysze broni mogli przestąpić.

„O taką sprawę — zaiste, dziś już oczywistą — pisze Kaden — poszli Ci, których przypominam na stronicach tej książki. To oni pierwsi wyrzekli nad Wisłą, w górach naszych, nad Nidą, nad Prutem i Stochodem, nad rzekami, polami, wobec miast, wobec wsi, wobec lasów:

Jesteś mi droższa nad życie. Tak śpieszno tutaj moim siłom, że nie ja — to Ty właśnie będziesz życiem, a moja śmierć jest czułą matką Twojej wieczności”...

Tak przestąpili próg Niepodległości, a Sława objęła ich swemi skrzydłami...

Jeśli mówić się na wstępie tych słów, iż stosunek autora do jego pracy jest zawsze najbardziej

rozstrzygającym gdy chodzi o jej wartość, bez względu na wszystko co o niej powie czytelnik czy krytyk — to w tym jednak wypadku, pod jednym względem nie można zgodzić się z Kadem. Powiada Kaden w przedmowie do omawianej książki, iż nie może się ona „znaleźć na półkach literatury pięknej, nie zawiera bowiem tego, co stanowi pierwszy warunek piękna, to jest harmonii pomiędzy treścią a formą. Treść przyniosło tu życie — treść wielką, bohaterską, pełną miłości i poświęcenia, formę zaś dawał autor pospiesznie w trudnych warunkach boju i marszu”.

By dać formę — piękną treści odpowiadającą, nie trza po temu specjalnych warunków. Właśnie warunki boju i marszu stworzyły to, iż między treścią boju i walki w różaniec życia i śmierci wplecione słowa, wówczas, pod nieostygłym pierwszym wrażeniem, ze skurczem serca przez Kadena pisane — zgodnym rytmem z krwią życia pulsują. Niech nikt więc nie mówi, iż niema miejsca dla tej książki wśród literatury pięknej, skoro pięknem najwznioślejszym jest samo życie, z którego ostatnia książka Kadena powstała.

Wacław Lipiński.

Z UKRAIŃSKIEJ NIWY LITERACKIEJ

Nowe polityczne ukształtowanie Europy nie mogło pozostać bez wpływu na literaturę 40 milionowej Ukrainy, która od czasów pradawnych była terenem walki dwóch światopoglądów i dwóch światów, Europy i Azji.

Do ostatniej wojny $\frac{9}{10}$ ukraińskiego narodu znajdowało się pod berłem carskim a tylko $\frac{1}{10}$ pod zaborem austriackim.

Carat, z obawy przed ukraińską iredentą, wszelkimi sposobami starał się powstrzymać kulturalny rozwój ukraińskiego narodu, a jego literatury w szczególności. To też po kagańcowym ukazie carskim z roku 1876, podobnie, jak niegdyś (w XIII stuleciu), po napadach tatarskich, ukraińskie życie umysłowe przesunęło się z Kijowa do Lwowa. Tutaj powstało naukowe Towarzystwo im. Szewczenki, rozwijała się prasa, ukazywały się książki, których rosyjska cenzura puścić nie chciała, rosło szkolnictwo. Tutaj tworzyli Franko, Stefanyk, Kobyłańska, Czeremyszyna, Makowej, Czajkowskyj i cała plejada młodszych. Ludzie, ci, nie bacząc na swe polityczne i literackie różnice, związani byli z resztą Europy całą siatką widocznych i niedostrzegalnych nici. W ich utworach łatwiej było dopatrzeć się pokrewieństwa z Ibsenem, Nietschem, Maeterlinkiem, lub Przybyszewskim, niż Sołowjewem, Tolstojem, lub Gorkim.

Ostatni polityczny przewrót przesunął słupy graniczne dość znacznie w kierunku wschodnim. Ta część Ukrainy, która była pod Austrią, dostała się do Polski, plus Wołyń i t. d.

Carat upadł, a z nim i dawny system prześladowania ukraińskiej literatury. Bolszewicy zrozumieli jakim potężnym środkiem dla ich propagandy może być literatura.

Zamiast prześladować zaczęli ją popierać i proteżować, pod warunkiem, aby była im wierna.

Ten gwałtowny skok wywołał niemniej gwałtowną zmianę fizjonomji, owe nerwowe skurcze i drgawki, zezowanie na lewo, przewracanie oczami, krwiożercze szczyrzenie zębów. Zaczął się histeryczny taniec dokoła czerwonego cielca ku przerażeniu wszystkich, którzy go uznać nie chcą i wciąż jeszcze w kierunku „kapitalistycznej Europy” spozierają.

Ale ten Hexentanz, ta Walpurgiesnacht ma się już ku końcowi. Kończy się cielęcy zachwyty, prawdziwe talenty, a jest ich tam, co przyznać trzeba, sporo, zaczynają wkra-
czać na drogę poważnej twórczości. Wprawdzie powie-
dzenie „skaczy wraże, jak pan każe” ma jeszcze swoje
zastosowanie, ale stwierdzić trzeba, że w ukraińskiej lite-
raturze pod bolszewikami, coraz mniej jest niesamowitych
dziwologów i karkołomnej literackiej ekwilibrystyki, a co-
raz więcej myśli, uczucia i pięknego wyrazu.

Wyplnęło około 300 nowych autorów a produkcja
książkowa wzrosła do rozmiarów, których przed wojną
nawet najwięksi optymiści nie przypuszczali. Trudno po-
wiedzieć, ażeby przewrót na Ukrainie wyszedł na szkodę
ukraińskiej literatury.

Przeciwnie, zaczyna się utrzymywać mniemanie, że
był dla niej korzystnym i sprzyjającym i że jej punkt cięż-
kości powinien znowu ze Lwowa wrócić do Kijowa.

O pytaniach tego rodzaju rozstrzyga życie. Nie ilość
literatów, i nie liczba wydrukowanych arkuszy, ale suma
myślowego i wogóle twórczego wysiłku, ale idee przewod-
nie i zrozumienie t. zw. duszy narodu, jej dążeń i pragnień,
jej politycznej orjentacji zadecyduje o tem, czy Kijów
obejmie przewodnią rolę w twórczości literackiej, a Lwów
usunie się na miejsce dziesięciorzędne, czy obydwa pozo-
staną centrami umysłowemi na przyszłość.

Przed tem pytaniem znajdujemy się obecnie.

Za Kijowem przemawia wszystko. Tam jest Akade-
mja Nauk, tam są ukraińskie szkoły, od najniższych do
najwyższych, dzienniki, miesięczniki, państwowe wydaw-
nictwa, płacące honorarja po 40 dol. za arkusz, a we Lwo-
wie jest *bieda*. Cenzura istnieje tutaj i tam, ale we Lwo-
wie można powiedzieć więcej, niż w Kijowie. We Lwowie
nie musi się udawać lojalnego, nie musi się być literackim
faryzeuszem. I trudniej z lwowskimi wydawnictwami
spotkać się w Kijowie, niż z kijowskimi we Lwowie.
Lwów stoi na własnych nogach, Kijów podpierają bol-
szewicy. W Kijowie ukraińska literatura jest rządową,
we Lwowie narodową. I w tem tkwi potęga tej ostatniej.
Choć biedna, choć *z nikąd*, poparcia nie mająca, chociaż
na nią ze wszystkich stron gromy biją, ale wyrasta ona
z ziemi, a nie z „kapitału” Marksa, z uczucia, a nie z ma-
nifestu Lenina z serca nie z propagandy. Kolor jej błę-
kitno złoty, a nie czerwony jak krew, i jak luna pożarów.
Ukraińscy literaci z bolszewji łąją swoich towarzyszy ze
Lwowa za brak energii, motoryczności, za ich apolitycz-
ność, konserwatyzm i tym podobne grzechy przeciw bol-
szewickiemu dekalogowi, ale zapominają o tem, iż ich
aktywność, polityczna działalność, „ideowość”, ich woj-
owniczość pod protekcją Moskwy i pod skrzydłami czerwo-
nego żandarma, nikomu zaimponować nie może.

Literatura zna jeden język, język szczeroci i dopóki
z obu stron kordonu tym językiem nie zaczną mówić, po-
rozumieć się nie potrafią.

O tym dramacie nieporozumienia we współczesnej
ukraińskiej literaturze — drugim razem.

N. Lityński.

CZEGO POTRZEBA NASZEJ MŁODZIEŻY?*)

Zewsząd rozlegają się głosy, że w „naszej” młodzieży
coś się psuje, że jest, wśród niej i z nią, źle. Dzienniki
rozpisują ankiety, na które odpowiadają różni — powo-
łani i niepowołani, podając różne przyczyny tego zła, jak
i różne środki zaradcze mające tę młodzież naprawić.

Szuka się dla niej ideału, szuka się treści duchowej,
szuka się jutrzeńki, która ma jej przyświecić, która ma
ją pociągać i budzić w niej ten wyższy ton, mający ją
zbliżyć do epoki młodzieży z „Ody do młodości”.

Zabierają głos ludzie nieznający młodzieży i jej ży-
cia, aby szukać „ideału” dla młodzieży, a zapominają, że
tego „ideału” nie należy szukać poza młodzieżą, lecz
w niej samej. Pisze się „receptę” bez wypytania pacjenta
co mu właściwie dolega.

A co za świetne „ideały” wyszukują ci panowie!

Jeden podaje, że droga do odrodzenia młodzieży pro-
wadzi przez „psychologję doświadczalną”.

Drugi rzuca wzniósłe hasło odrodzenia przez religję.

Trzeci przez harcerstwo. Czwarty przez gimnastykę
i t. d. i t. d., nie mówiąc, już o tem, że każdy z dyrekto-
rów, w swoim zakładzie i na własną rękę, przeprowadza
jakąś metodę odrodzeniową.

Systemów cały rój! Otóż, moi Panowie, dzisiaj ża-
den jednostronny system nie pomoże młodzieży i nie sta-
nie się jej ideałem: ani religja, ani harcerstwo, ani
gimnastyka.

Młodzież należy zbliżyć do społeczeństwa, trzeba rzu-
cić pomost pomiędzy nią a życiem ogółu. Dzisiaj trzeba
młodzież niejako „uspołecznic”. Trzeba jej pozwolić mieć
większy horyzont. Niech bierze udział w życiu społecz-
nem, a nie ogranicza się tylko do murów szkolnych i „ob-
kuwania” lekcyj.

Młodzieży nie zaspakaja szkolne życie, ona szuka cze-
goś ogólnego, chce być „poważną” i obserwować, jak też
i brać udział w życiu społeczeństwa. (Tem się tłumaczy
zaprowadzenie lekcji czytania gazet w Niemczech). Młod-
zież chce mieć otwarte oczy na cały świat, ten świat ży-
jący we współczesności, a nie w przeszłości. Chce czerpać
wiadomości i doświadczenie bezpośrednio z życia a nie
z książek.

Tymczasem społeczeństwo nie interesuje się młodzie-
żą i całą pracę nad nią składa na barki nauczycieli i wy-
chowawców. Społeczeństwo odgradza się od młodzieży
chińskim murem obojętności, bo uważa, że ważniejszą
rzeczą jest polityka. W ten sposób ogranicza się życie młod-
zieży do szkoły i domu.

Niema komu pokierować młodzieżą i wskazać jej
gdzie i jak może pracować z korzyścią dla siebie i społec-
zeństwa, a bez uszczerbku dla nauki szkolnej. Niema je-
dnej poważniejszej organizacji, ani jednego głębszego pi-
sma dla młodzieży.

Harcerstwo, dziś, w dobie hufca wojskowego, jest
uważane za dziecinadę; sam hufiec nie zaspokaja wszy-
stkich pragnień młodzieży, a pozatem nie jest dostępny
dla wszystkich (tylko uczniowie wyższego gimn. i to zu-

*) Nawiązując do artykułu Red. „Głosu Prawdy” W.
Stpiczyńskiego z dn. 4/IX b. r., zamieszczamy jeden z wielu
listów, otrzymanych od uczniów w okresie nowego roku szkol-
nego.

pełnie zdrowi). Także wszelkie organizacje o podłożu religijnem nie pilnują swoich zadań bo przecież dzisiaj już nawet 15 letnia młodzież spełnia praktyki religijne bezdusznie i jakby z nakazu, a na egzortach śpi. Tak jest niestety — smutny to objaw, ale prawdziwy. Trzeba więc jej podać jakąś strawę duchową, trzeba ją czemś zająć i to czemś wzniosłym.

Trzeba więc stworzyć wielką organizację całej młodzieży polskiej. Trzeba aby na jej czele stanęli ludzie wielcy „ludzie stojący na podwyższeniu”. Trzeba, aby w skład jej wchodziłi wielcy działacze, literaci, wszelkiego rodzaju artyści, technicy i pedagogowie. Należy wydawać wielkie czasopisma dla *wszystkiej młodzieży*. Niech każdy z wielkich ludzi poświęci 5 minut czasu dziennie dla młodzieży a wyda to wielkie owoce.

W czasopiśmie tem, należy młodzież zapalać do rzeczy wzniosłych. Trzeba zachęcać młodzież do pracy twórczej i samodzielnej. Przez artykuły pierwszorzędnych pisarzy można wszczepić w młodzież umiłowanie pracy, umiłowanie cnoty, miłości bliźniego, zgody i oszczędności.

W ten sposób można młodzież nauczyć pracować wspólnie, a nie oddzielnie; można zwrócić jej uwagę na różne rzeczy dobre, a odwrócić jej uwagę od rzeczy złych.

Niech taka organizacja obejmie wszystką młodzież całej Polski. Niech wszyscy na łamach tego czasopisma wyrażają swoje myśli i pragnienia. Niech każdy członek tej organizacji złoży na wspólne cele tylko jeden grosz, a uzbierają się miliony, za które będzie można budować bursy, urządzić kolonje letnie i pomagać ubogiej młodzieży. Niech już znikną te „mamusine synki” co mają bardzo dobre świadectwa, a w życiu nie mogą dać sobie rady i schodzą na manowce skoro zabraknie troskliwej matki.

Teodozy B.

POLONIKI AMERYKAŃSKIE

Żywy pomnik Kościuszki.

Pięć lat temu w r. 1923, pod wiosną, powstała na zachodzie amerykańskim myśl zorganizowania Komitetu Stypendjalnego Polsko-Amerykańskiego, celem popierania wymiany studentów i uczonych pomiędzy Polską a Stanami Zjedn. Ameryki Półn. Inicjatorem tej sprawy był profesor Stefan Mierzwa, który niedawno przypomniał ogółowi polskiemu po obu stronach oceanu, jak z tego zamiaru urosła obecna Fundacja Kościuszkowska, której kapitał żelazny przekracza obecnie 100.000 dolarów. Według określenia prof. S. Mierzwy „Fundacja Kościuszkowska” została założona po to, aby przez popieranie wymiany studentów i profesorów pomiędzy Polską a Ameryką, jak również przez inną pożyteczną pracę, służyć jako żywy pomnik dla Kościuszki — na użytek ojczyzny i wychodźstwa”.

Otóż niezmiernie ciekawą okolicznością w historii Fundacji Kościuszkowskiej jest udział strony amerykańskiej, dzięki czemu Fundacja otrzymała podłoże bezpartyjne. Na zapytanie: Kto najwięcej przyczynił się do powstania Fundacji Kościuszkowskiej? odpowiada bez wahania prof. Mierzwa: Vauclain, Mac Cracken, prasa polska i uświadomiony wychodźca, lud wychodźczy, ten rolnik i robotnik polski, który w wielu wypadkach nawet

nie wiedział, że ojczyznę ma, do Ameryki przyjechał za chlebem, w niej się uświadomił i tam się uspołeczniał. Cała prasa polska w Ameryce, z małemi tylko wyjątkami projekt ten poparła, lecz liderzy „narodowi” Polonji, do których projektodawca się udawał z prośbą o współpracę, naogół rzecz biorąc, bardzo mało zainteresowania okazali. Ludzie stojący na czele zorganizowanego wychodźstwa mieli widocznie inne troski i kłopoty i na myśl tę nie zareagowali.

Faktem jest, że dotychczas nasi robotnicy zebrali ogromną większość Funduszu Kościuszkowskiego w myśl hasła, brzmiącego w wierszach wychodźcy polskiego z Milwaukee:

„Kościuszcze, co walczył dla wolności lata,
„Najtrwalszy pomnik zbuduje oświata”.

Udział Polaków w bojach amerykańskich.

W Polsce dotychczas mało zastanawiano się nad tem, czy Polacy brali jaki wybitny udział w amerykańskiej wojnie domowej, w tej ostatniej walce o demokrację amerykańską. Wiedzieliśmy, że Kościuszko już zapoczątkował akcję nad uwolnieniem niewolnika murzyńskiego, ale czy Polacy przyczynili się do zwycięstwa w tej walce o wolność murzynów i całość Stanów Zjednoczonych, nie mieliśmy wcale pojęcia.

Po żmudnej pracy grzebania w starych zapiskach i dokumentach udało się Polakowi na wychodźstwie, Mieczysławowi Haimanowi, sprawę tę wyświetlić wcale dokładnie w świeżo wydanej książce p. t. „Historja udziału Polaków w Amerykańskiej Wojnie Domowej”.

W piętnastu rozdziałach tej cennej książki, obejmującej 268 stron druku, autor zwięźle i w sposób wielce interesujący wypełnił lukę w historii Polaków w Ameryce. Z prawdziwą dumą dowiadujemy się z niej, w jaki wybitny sposób i jak licznie wzięli Polacy udział w Wojnie Domowej, dając Armji Północnej nie tylko szeregowców, ale również i oficerów. Ogółem podaje autor 1,700 nazwisk polskich, które wyszperał z różnych źródeł. Z tego 286 żołnierzy polskich poległo na polach bitew. Mała garstka stanęła również po stronie Armji Konfederacyjnej, ale ta ginie wobec ogromnej liczby, która walczyła o słuszność po stronie zwycięskiej Armji Unijnej.

Murzyni mówiący po polsku.

Z ramienia Instytutu Emigracyjnego w Polsce podróżował w tym roku po Teksasie, gdzie rozrzucone są liczne kolonje polskie, dr. Gustaw Załęcki z Warszawy. Jakież było zdumienie jego, gdy na stacji New Orleans, tragarz murzyn, umiejący widocznie odczytać umieszczone na kufrach polskie nazwisko pasażera, przemówił do dr. Załęckiego po polsku. Zapytany, gdzie nauczył się języka naszego, odpowiedział, że w Teksas, skąd on pochodzi, a gdzie jest dużo polskich szkół parafjalnych, murzyni uprosili Polaków, by z braku szkół murzyńskich pozwolili ich dzieciom uczęszczać do szkół polskich.

Wyjeżdżając z Ameryki, przeznaczył Tadeusz Kościuszko darowany mu przez Stany Zjednoczone majątek na oświatę dla murzynów. Szkół murzyńskich jest jednak w Ameryce zamało i szkoły polskie, zgodnie z intencją Kościuszki, szerzą oświatę wśród czarnoskórych obywateli i to nawet w mowie polskiej.

T. Gleyden.

Z BIBLIJOFILSKIEJ ANTOLOGJI

SONET

*poety angielskiego Roscoe do swoich księzek, kiedy musiał je sprzedać dla zaspokojenia wierzycieli. *)*

*Kto z przyjaciółmi musi rozstać swemi
Tą tylko myśl ciężką żalność słodzi,
Ze znów mu przyjdzie gdzieś spotkać się z nimi,
Znów w ich uściskach swe smutki nagrodzi.*

*Tak, ja was rzucam, rzucam bez wstruszenia,
Wy światła dawce, wy wielcy mężowie!
Ach! jak mi lube są chwil tych wspomnienia,
Ktorem ja z wami przepędził w rozmowie.*

*Może nim rok ten, nim ten dzień przeminie,
I ja zobaczę blask lepszego słońca;
Duch mój się wolny wzniesie w tej krainie,
Gdzie wieczna mądrość, panuje bez końca.
Tam się znów z wami, wielcy przyjaciele
Spotkam, lecz nigdy się już nie rozdzielię.*

(Tłom. Ant... Go...
Niezapominajki, Noworocznik na r. 1843. S. 161-2).
(Wybr. Este.)

*) Biblioteka Wiliama Roscoe'a została sprzedana w Liverpoolu w 1816 r.; dla upamiętnienia tego zdarzenia napisał poeta sonet p. t. „To my books on parting with them”.

ODPOWIEDZI GŁOSU PRAWDY
LITERACKIEGO

Cichy: Szanowny Panie, wiersz może rozprażony politycznie do czerwoności, najczerwieńszy, może być biały, najkonserwatywniejszy w świecie, byle tylko była w nim rzeczyciwa poezja: a zawsze wtedy będzie dobry. Tymczasem w pańskim wierszu nie ma ani za grosz poezji właśnie. Są rymy wytarte, pospolite, obrazy, które sto i sto tysięcy razy czytało się już! Jeżeli odczuwa Pan stanowczą potrzebę pisania, to już możeby lepiej było zacząć od prozy. Starać się opowiedzieć coś domniemanemu czytelnikowi. Nadesłane poezje nie mają stanowczo żadnej wartości.

E. Rych. Lowicz: Nikogo w tej rubryce nie wyśmiewamy. Wiemy, co to znaczy stawiać pierwsze kroki, stawialiśmy je sami, a jednak i dziś jeszcze, gdy nową pracę zaczynamy czujemy właśnie taki lęk, jakby ona pierwszą była, nie zaś jedną z licznych szeregu. Jeżeli, niejednokrotnie krytykujemy ostro, to dlatego, że trudno nam wypisywać setki ogólnych, rozwlekłych omówień. Uważamy, że trudzić się nie warto. Wiersz pański jest poprawny tą właśnie najniebezpieczniejszą m a r t w ą poprawnością. Poprawnością bezpłodnej, że się tak wyrazimy, ogłady. Nie widzimy z tego żadnego wyjścia i pisać odradzamy.

Inżynier M. K. Bajka bardzo dobra do momentu przemowy kucharza. Kucharz ów przemawia zbyt sztucznie, „cóż

okolica mówić będzie, wiadomość taką, gdy posiędzie” itd. Otóż to właśnie! W terminach zamasztych wylatuje Pan z charakteru dotychczasowego i cała rzecz wpada w sztuczność. Nie mówimy już o tem, że kucharz był zaiste wyjątkowym człowiekiem, nie znamy bowiem nikogo, kto by przemawiał do kota kradnącego pieczone kurczę, nie rznął zaś w tegoż kota fartuchem. kijem, czy czem mu się nadarzył!

B 3 i: Niema właściwie żadnego związku pomiędzy owym Anatolem a Michałem. O co chodzi. Ze jeden maszerujący przez pustynię mógł napić się wody, ale przez oszczędność nie napił się? Ostatecznie uratowała go karawana! A znów brat Michał? Jeżeli mu było źle w klasztorze mógł chyba uciec? Bał się? Nie miał odwagi. Za brak odwagi cierpi się w życiu, to trudno. Powinno się jeszcze więcej cierpieć, jeżeli ów brak odwagi przedstawia się bez wszelkiego poczucia piękna i stylu, jak Pan to czyni. Radzimy zaniechać prozy symbolicznej i brać się do skromnych poprawnych opisów. Potem, o wiele później, przyjdzie może czas na prozę symboliczną.

Tad. Horz. W-wa: A więc — chwała Bogu — wszystko w porządku. Być może iż my sami prześlepiłszy tu tę recenzję.

Bronisław Zimnaw.. Gdańsk: Z prawdziwą radością spieszymy donieść Panu, że nareszcie zgadzamy się! Wiersze pańskie pójdą. Wydrukujemy „Świt” i „Wieczór”. Nie uważamy tych utworów za skończone dzieła, widzimy już jednak, że opanował Pan o tyle o ile swe tworzywo poetyckie. Wiersz komponowany jest celowo, posiada własne brzmienie (francuzi nazywają to sonorité) oraz pewną, może aż nazbyt forsowną, oryginalność obrazów. Radzilibyśmy nie nadużywać owej oryginalności, przeciwnie tłumić ją, łatwo tu bowiem grozić Panu może przesadny barok. Są to szczegóły, które zważy Pan wedle własnego uznania. Bardzo nas cieszy, że nareszcie dogadaliśmy się i że będziemy Pana drukowali.

Wi. P. W-wa: A tak, — wydrukujemy, mimo że po początku noweli spodziewaliśmy głębszego wzięcia się do tematu. Wydrukujemy ze względu na szybki, dobrze prowadzony tok opowiadania. Może Pan ma w swej tece rzeczy lepiej opracowane. Nazywa się to w języku „znawców”, — pogłębione? Oczekujemy chętnie!

Alfred Luł: Nie trzeba być w gorącej wodzie kąpanym. Przystawienie wierszy, — to przecie zwykły figiel, jaki bardzo często zdarza się przy łamaniu. O ile pamiętamy proponowaliśmy Panu pewne skróty. Pan zaś zgodził się na nie. Wobec powyższego śmierć na Mont E... pójdzie, musi jednak zacząć na swą koleję. Nie możemy przecie dla Pana odrzucić tych, którzy byli pierwsi, czy też usunąć na bok materiał aktualny. Cóż tu ma do rzeczy nazwisko?! Może Pan być przekonany, iż wiedzieliśmy, że ani Conrad, ani Flaubert, ani Dostojewski pod tą nowelą podpisani nie będą. Jakże można być tak podejrzliwym!

Omega: Pisaliśmy. — niestety, — oba utwory wedle naszego, — zapewne niekompetentnego zdania, — nie nadają się do druku. Cóż na to poradzić? Napisać coś lepszego chyba!

Stef. Pom.: Z wielką radością przeczytaliśmy wiersz o Odyssie. Niechże nam Pan pomoże, — jesteśmy codziennym pismem i nie możemy sobie pozwalać na licencję obyczajową pism wyłącznie literackich. Prosimy więc koniecznie, aby zaradził Pan w ostatniej zwrotce, w trzecim wierszu od dołu, który rymuje Pan do asfodele. Rym nad asfodelami trzeba ja-koś zmienić inaczej nie możemy drukować.

REDAKTOR I WYDAWCA: WOJCIECH STPICZYŃSKI

Drukarnia „Literacka”, N.-Świat 22.

Przesyłka poczt. opłacona ryczałtem.